

# KAMENIA WIMCENNA

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN

30.XI-15.XII 1964

Nr 22-23 (308-309)

ROK XXXI

CENA 2 ZŁ

LUBLIN — BIAŁYSTOK — KIELCE — RZESZÓW

## ZIEMIA SWIEŻYCH

ANNA STROŃSKA

TO nie jest Śląsk, gdzie ludzie mają już przemysł we krwi, po robocie wraca się do robotniczego domu i nie spotkacie człowieka, który by uwierzył, że może być inaczej. To nie jest nawet Nowa Huta, gdzie niedawni właściciele morgów, albo wyrobownicy na cudzych morgach, zmienawidzą każdego, kto im o tym przypomni.

Nie mylmy zapowiedzi z faktami: rozgłos wokół polskiej siarki zaczął się grubo wcześniej, od ilu jednak lat liczy się ta siarka w sytuacji regionu? Od czterech.

Ktoś uprzedza reportera:

— Bardzo świeża załoga. Jak to się u nas mówi: wczoraj rządził krową na pastwisku, dzisiaj nowoczesną maszynę pogania. Trzeba dużo czasu, zanim zaczną naprawdę czuć przemysł. Nie wystarczy fach w garść złapać, żeby się nazywać robotnikiem. Niektórzy zresztą już wiedzą. Zwłaszcza w trudnych sytuacjach potwierdza się, że już wiedzą.

Z końcem kwietnia, podczas zakładowej konferencji partyjnej w KIZPS im. Marcelego Nowotki w Machowie, troje ludzi: technik Katarzyna Czechura, ślusarz Tadeusz Cesarz oraz sztygar zmianowy Ryszard Wrębski otrzymało czerwone legitymacje z rąk sekretarza KC PZPR Ryszarda Strzeleckiego oraz I sekretarza KW PZPR w Rzeszowie, Władysława Kruczka. Legitymacja Czechury była 999 w kombinacie, legitymacja Cesarza — 1000, Wrębskiego — 1001.

Warto zauważyć, że „tysięcznikiem” jest dzisiaj organizacja, która w początkach polskiej siarki, w 59 roku, liczyła sobie 28 towarzyszy, wśród nich — pięciu, czy sześciu robotników.

Obecny skład socjalny: pracowników inżynieryjno-technicznych — 346, pracowników administracyjnych — 125, robotników — 530.

Kandydat Wrębski, sztygar, lat 23, (1001 legitymacja) jest, podług kolejności przyjęcia, 135 towarzyszem w Zakładzie Produkcji Siarki. Sekretarz jego oddziałowej organizacji, robotnik Edward Kobylarz, lat 28, w tym — dziewięć w partii, został tego samego dnia delegatem na IV Zjazd. Zakład przyjmuje rudę siarkową i oddaje czystą siarkę. W 61 roku oddał jej 93 tys. ton, w następnym — około 180 tys., w następnym — przeszło 203 tys., w bieżącym powinien oddać — 280 tys., w przyszłym zaś — 400 tys.

Charakterystyczna jest tujejsza nomenklatura. Tych, którzy dojeżdżają do pracy, czyli 70% załogi, czyli 3 tysiące ludzi, zamieszkających w powiecie Tarnobrzeg i we wszystkich powiatach sąsiednich, nazywa się miejscowymi. Natomiast mieszkańcy

(Dokończenie na str. 6)



Państwowy Teatr im. J. Osterwy w Lublinie wystawił na Jubileusz XX-lecia „Wesele” Wyspiańskiego w reżyserii Zofii Modrzejewskiej i scenografii Jerzego Torończyka (recenzja w następnym numerze)

## WSPÓŁCZEŚNIENIE KATOLICYZMU PIOTR MILEWSKI

TRZECIA sesja Soboru Watykańskiego II została zamknięta. Termin otwarcia czwartej sesji nie został jeszcze ustalony. Przypuszcza się na ogół, że między sesją trzecią i czwartą upłynie dłuższy okres czasu. Są i tacy, którzy przypuszczają, że okres paroletni. Nie wdając się w ocenę tych przypuszczeń kalendarzowych, spróbujmy ocenić wyniki sesji, która właśnie zakończyła obrady. I tu od razu nasuwa się kilka pytań. Czym różniła się sesja trzecia od dwóch poprzednich? Dlaczego tyle stosunkowo miejsca zajmowała na łamach prasy naszej i prasy światowej? Dlaczego — krócej mówiąc — ściągnęła na siebie uwagę opinii światowej i to niezależnie od koloru skóry i zabarwienia poglądów poszczególnych odłamów tej opinii? Odpowiedź na te pytania — z grubsza oczywiście biorąc — zawarta jest w fakcie, że o ile poprzednie dwie sesje upłynęły pod znakiem dyskusji nad sprawami dotyczącymi przede wszystkim samych wyznawców katolicyzmu (były to sprawy religijno-dogmatyczne i sprawy związane z organizacją i działalnością Kościoła), to sesja trzecia — znowu podkreśliła słowo: w zasadzie — poświęcona była omówieniu trzech dokumentów, które znaczeniem swym, ze względu na ich treść i charakter, musiały przebić się poprzez granicę zainteresowań tylko katolików. Tu uszu nastawili nie tylko katolików, ale także wyznawca buddyzmu, mozaizmu czy islamu, tu ze szczególną uwagą obradom zaczął się przysłuchiwać również ateista-marksista, a także ateista w

marksizmie nie uczony, ale zaangażowany w tak doczesnej sprawie tego świata, jak pokojowe współistnienie, które przez to, że jest problemem wielopłaszczyznowym, wciąga w swą orbitę wszystkich.

Jakież to są te trzy dokumenty? Pierwszy z nich to „O obecności Kościoła w świecie dzisiejszym”, zwany również schematem XIII, drugi to deklaracja „O wolności religii”, trzeci to deklaracja „O stosunku katolików do niechrześcijan”. Zbyt obszerne to dokumenty, aby można je było tutaj streścić, ale z samych ich nagłówków wynika jasno, że chodzi tu o sprawy, w których katolik styka się ze światem zewnętrznym, a więc o sprawy interesujące również ten świat zewnętrzny, niewątpliwie liczebnie większy od katolickiego. Wynika również, że chodzi tu o problemy dotyczące całego świata, całej ludzkości. Bo są to niewątpliwie problemy całej ludzkości, jeżeli — jak to czytamy w schemacie XIII — mowa jest o zagadnieniach pokoju i wojny, o rozbrojeniu nuklearnym, o przeciwdziałaniu głodowi i eksplozji demograficznej w krajach tzw. trzeciego świata, o rozwoju człowieka, jego osobowości i kultury. Jest sprawą co prawda pod względem zakresu węższą, ale przecież przyciągającą uwagę nie tylko katolików, jeżeli dokument „O wolności religii” stwierdza np., że „w głoszeniu prawdy wiary nie wolno stosować jakiegokolwiek nacisku bezpośredniego i pośredniego, bo wyznaczenie wiary ma następować w warunkach całkowitej swobody i wyboru”,

jeżeli motywując tę nową, bardziej realistyczną i postępową postawę Kościoła wobec ludzi wyznających odmienne przekonania, konstatuje: „W dzisiejszym świecie istnieje potrzeba większej swobody religijnej ze względu na liczne kontakty i stosunki między ludźmi różnych kultur i religii; ponieważ występuje narastające poczucie osobistej odpowiedzialności za sumienia; wreszcie z uwagi na prawną organizację współczesnych społeczeństw”. Wreszcie i dokument trzeci, a mianowicie deklaracja „O stosunku katolików do niechrześcijan” jest dokumentem dużej wagi, jako że samokrytycznie ocenia się w nim krzywdy wyrządzone w przeszłości przez Kościół wyznawcom innych religii i potępia stanowczo — na przykład — nienawiść i prześladowania stosowane wobec Żydów zarówno w przeszłości, jak i w dobie obecnej.

Rzecz jednak w tym, że żaden z tych trzech dokumentów nie stał się jeszcze dokumentem obowiązującym. Sobór Watykański II i na trzeciej swojej sesji nie zdążył ich uchwalić, odkładając sprawę do sesji IV. W jakim więc stanie je odłożył? I jeszcze jedno: dlaczego nie zdążył ich uchwalić?

Sobór Watykański II, sama idea jego zwołania wyrosła z konieczności przystosowania Kościoła do warunków współczesności. Jest to podjęta jeszcze przez Jana XXIII próba unowocześnienia i uwspółcześnienia Kościoła zarówno w zakresie jego stosunków wewnętrznych (hierarchia kościelna a katolicy), jak i w zakresie jego stosun-

(Dokończenie na str. 13)



# W PUŁAWACH mieście „Azotów”

ROMUALD KARAS

JUZ od momentu lokalizacji w Puławach „Zakładów Azotowych”, jednego z największych i najnowocześniejszych kombinatów chemicznych w świecie, mówilo się, że inwestycja ta będzie sumą doświadczeń wyniesionych z wielkich budów: Nowej Huty, Troszowa, Tarnobrzeg, Plocka. Istotnie, w wielu dziedzinach unika się błędów spotykanych przy wznoszeniu tamtych obiektów przemysłowych. Ale jeśli w dziedzinie ekonomicznej zrobiono poważny krok naprzód, to w sprawach społecznych nie da się tego zaobserwować.

W Puławach powtarza się historia znana niemal we wszystkich rejonach uprzemysłowianych. Chodzi tu szczególnie o niedorastanie władz terenowych do problemów, które niesie ze sobą wielki nurt gwałtownej industrializacji. Z całą ostrością wystąpiły już w mieście trudności, nieporozumienia i konflikty. Nie można zatem mówić, że pod tym względem Puławy wyciągnęły jakieś praktyczne wnioski z doświadczeń innych miejscowości, gdzie rozlokował się wielki przemysł.

## MIASTO BEZ WŁADZY

Niemal zupełnie niezorientowanie w problematyce inwestycyjnej, brak odpowiednich komórek w Prezydium MRN do załatwiania spraw związanych z inwestycjami towarzyszącymi i wywłaszczeniem terenów, spowodowało przejęcie tych kompetencji przez Prezydium Powiatowej Rady Narodowej. Wytworzył się taki stan, iż załatwia ono niemal wszystkie problemy związane z wkraczaniem „Azotów” na tereny Puław i okolic. Fakt ten znalazł pewne odbicie we wzmocnieniu etatowym władz powiatowych. Nie jest ono jednak na tyle silne, aby mogło zapobiec licznym komplikacjom i konfliktom, które niosą ze sobą nowe warunki.

To przejęcie kompetencji MRN przez władze powiatowe jest z jednej strony nakazem życia, naporem nowych problemów, które ktoś musi rozstrzygnąć na bieżąco. Z drugiej zaś strony kryje się w tym nieprawidłowość: miasto straciło swe władze, gdyż w praktyce nie mają one większego znaczenia. Rola Prezydium MRN sprowadzona została do zagadnienia porządku i estetyki miasta. Nawal interesantów (średnio 80 osób w ciągu dnia), przychodzących w większości ze sprawami bardzo trudnymi, coraz bardziej podkreśla słabość władz miejskich. Z tego powodu wytworzyło się wiele niechęci. Czasem może uzasadnione, lecz najczęściej mających swe źródło w braku orientacji obywateli w powstającej sytuacji. Dotyczy to zwłaszcza zasiadających puławian, którzy zwykle przypisują całą winę osobom sprawującym obecnie władzę, uważając je za znacznie mniej zaradne od zasiadających w poprzednich władzach. Nie biorą oni w rachubę faktu, że dawniej nie było w Puławach „Azotów” i życie układało się o wiele prościej, choć bez specjalnych perspektyw.

Swoją drogą dokładniejsza analiza działalności MRN pozwala dostrzec szereg nieprawidłowości. Niewydolność władz miejskich występuje głównie w sprawach konfliktowych, takich jak wywłaszczenie, nowa zabudowa. W tych wypadkach władze nie potrafią bronić często słusznym interesów obywateli. Sam tryb działania MRN także układa się dosyć niekorzystnie dla interesów miasta.

Najbardziej prężna i dynamiczna część społeczności miejskiej, obejmująca ludzi w wieku od 25 do 40 lat, reprezentowana jest w MRN w stopniu niższym od odsetka tej grupy ludności w społeczności miasta. Najliczniej jest natomiast reprezentowana w składzie MRN grupa ludności w wieku od 50 do 60 lat i powyżej. Jeśli w skali kraju radni w tym wieku stanowią 27,8 proc., to tego typu radnych MRN w Puławach jest 40 proc. Mamy tu do czynienia z wpływami miasta, które tworzy społeczność o silnym stopniu tradycjonalizmu, ustabilizowanego życia, o dużej zasiedloności. W składzie

organów władzy lokalnej widzi ona niechętnie ludzi młodych.

Radni MRN, choć aktywni na sesjach, są jednak oderwani od wyborców, o czym świadczy znikoma liczba spotkań z ludnością, szczególnie na tematy najbardziej interesujące ogół, to jest związane z „Azotami”. Słabo działają także komisje radzieckie, podporządkowane właściwie administracyjnym metodom pracy Prezydium MRN. Najbardziej prężna grupa — pracownicy „Azotów” — nie jest reprezentowana w radzie, co jeszcze bardziej odrywa władzę od istotnych zagadnień, jakimi żyje miasto.

## DROGI NAPRAWY

Dla uniknięcia wielu konfliktów i rozgoryczeń ludności wydaje się konieczne wzmocnienie władz miejskich. Przede wszystkim powinno to nastąpić przez wydzielenie miasta z powiatu. Przeszkoda formalną wciąż jeszcze jest zbyt mała liczba mieszkańców. Ale zanim 18-tysięczne Puławy osiągną wymagane 25 tys. ludności, sytuacja może się stać jeszcze trudniejsza.

Już obecnie waga problemów jest tak wielka, że Puławy winny być miastem wydziałonym. Przemawia za tym dodatkowo lokalizacja drugiego kombinatu chemicznego, który stanie w Puławach, a już obecnie sprawy z nim związane poważnie rzutują na sytuację w mieście.

Warto zwrócić uwagę, iż wśród miast powiatowych Lubelszczyzny Puławy odgrywają największą rolę. Na nie zwrócone są oczy całego kraju. Tymczasem ich pozycja prawnoustrojowa ustępuje Zamościowi, Chełmowi, a nawet Białej Podlaskiej (są to miasta wydzielone z powiatu).

Piłą sprawą staje się więc w Puławach wzmocnienie Prezydium MRN. Należy zwrócić szczególną uwagę na obsadę stanowiska wiceprzewodniczącego — do tej pory nie ma takiego etatu. Winien je pełnić fachowiec o dobrej znajomości spraw inwestycyjnych, które z każdym miesiącem stanowią coraz większy krąg zainteresowań mieszkańców i władz. Zachodzi także potrzeba wymiany części pracowników. Wprawdzie wysuwa się zastrzeżenia, że nie można zwalniać ludzi, którzy w Prezydium MRN pracują przez kilkanaście lat, gdyż wyrządził im się w ten sposób krzywdę, ale ten punkt widzenia nie uwzględnia jednak interesów ludności i dobra kombinatu, który jest sprawą ogólnonarodową. Ci ludzie, mimo najlepszych nawet chęci, z prostych przyczyn braku kwalifikacji nie są w stanie spełniać należących nowych obowiązków. Niedługo, gdy Puławy były spokojnym miasteczkiem, ich umiejętności okazywały się może wystarczające. Teraz przerosły ich problemy wielkich inwestycji. Interes społeczny nakazuje zrezygnowanie z pracy tych ludzi i przeniesienie ich na inne, odpowiednie stanowiska.

Jeśliby jednak Puławy nie zyskały rangi miasta wydziałonego z powiatu, wzmocnienie etatowe trzeba dać nie Miejskiej Radzie Narodowej, lecz Powiatowej Radzie Narodowej. W przeciwnym przypadku Prezydium MRN, którego kompetencje przecież nie wzrosną, uczeni z tych ludzi figurantów nie mających żadnego wpływu na załatwianie piętrzących się spraw.

## MYŚLENIE POD KĄTEM KOMBINATU

Jest całkowicie pewne, że Puławy nie rozwiązują skutecznie problemu władz pod kątem kombinatu azotowego, jego potrzeb i perspektyw rozwojowych. Niedorastanie władzy do wielkich zagadnień, jakie niosą „Azoty”, wywołalo szereg trudności i konfliktów, szczególnie w związku z wywłaszczeniami i zabudową działek, a także wycianiem lasu miejskiego i drzew. Jest to dopiero preludium tego, co w Puławach może być. Cena niedorozwoju władz miejskich i wiążące się z nią skutki społeczne przerastają znacznie wydatki, jakie poniosłoby państwo, gdyby już od początku lokalizacji kombinatu w Puławach wydzielono miasto z powiatu. Liczyć się należy z tym, że koszty tej anormalnej sytuacji, kiedy

Z BARDZIEJ interesujących spraw, jakie przewijały się ostatnio przez łamy naszej prasy, warto omówić dyskusję, która rozwinęła się wokół spraw współczesnego uniwersytetu. Dyskusja ta nie jest bez związku z poprzednimi dyskusjami na temat reorganizacji szkolnictwa w ogóle. Sytuacja uniwersytetu zależy przede wszystkim od sytuacji w szkole średniej. Sprawom modelu socjalistycznego uniwersytetu poświęcone było też seminarium z okazji XX-lecia UMCS. Otwarcia prasowej dyskusji wokół koncepcji i pozycji uniwersytetu dokonał „Nowe Drogi” i dyskusja ta jest dalej kontynuowana.

Z. Kłemieniewicz w artykule „Kierunki zmian w rozwoju uniwersytetu” wskazuje na nową sytuację współczesnego uniwersytetu, bowiem wiele dyscyplin i dziedzin wiedzy odłączyło się od uniwersytetu i przekształciło się w placówki samodzielne. Uniwersytet spełnia nadal jednak dwa ważne zadania: prowadzi on pracę badawczo-twórczą i przygotowuje kadry pracowników naukowych oraz dostarcza kulturze i gospodarce narodowej pracowników zawodowych z wyższym wykształceniem. Uniwersytet będzie jednak dostarczał nie pracowników fachowych, oby tych już z praktyką. W jego zakresie leżeć będzie raczej kształcenie w zakresie nauk humanistycznych, przyrodniczych i matematycznych z nacyleniem ku nauce czystej, tzn. raczej teoretycznej, bez przesadzania ich praktycznego użycia.

Uprawianie nauki czystej oraz kształcenie inteligencji na poziomie wyższym, teoretycznym, uzdolnionej do pracy zawodowej — to zadania głównego uniwersytetu. Prof. Kłemieniewicz wskazuje jeszcze na dwa zadania dodatkowe, ale niezmierne ważne: promieniowanie na środowisko i region oraz doskonalenie i dokształcanie dawnych absolwentów.

W tym numerze „Nowych Drob” A. Łopata pisze na temat właściwego miejsca wydziału prawa, B. Trzebiatowska o wszechstronnym uwspółcześnieniu uniwersytetu, zaś A. Schaff daje wypowiedź zatytułowaną „W poszukiwaniu koncepcji współczesnych studiów filozoficznych”. Autor stwierdza, że filozofia uniwersytecka jest w stanie permanentnej przemiany, są nawet pokolenia studenckie, które w czasie studiów przeżywają trzy „radikalne” reformy programu nauczania. Wyniki tego? Odpowiada autor, że „końcowy produkt jest w wielu wypadkach i teraz jeszcze tak marny, że człowiek z zażenowaniem musi zadać sobie pytanie, czy nie wykonujemy społecznie szkodliwej roboty”.

Autor proponuje dwa rozwiązania. „Idealnym typem studiów filozoficznych są studia ludzi z dyplomem w jakiegokolwiek dziedzinie nauk szczegółowych i wykazujących zainteresowania metodologiczne i ogólnofilozoficzne (...) Drugim typem stu-

diów faktycznie nie ma władzy, będąc stale rosły w miarę przybywania nowych inwestycji towarzyszących i budowy obiektów przemysłowych.

Nakazem chwili staje się konieczność gospodarczego, społecznego i politycznego myślenia pod kątem potrzeb kombinatu. Pojawiają się takie zagadnienia, jak zapewnienie siły roboczej „Azotom”. Wiąże się to z problemami komunikacyjnymi. Już teraz zachodzi potrzeba budowy dróg do tych miejscowości, które mają duże nadwyżki siły roboczej.

W najbliższym rejonie kombinatu ulec musi zmianie struktura rolnictwa, które winno przestawić się na produkcję warzywniczą i owocową.

Do potrzeb kombinatu dostosować się musi także szkolnictwo, nie uwzględniające do tej pory tendencji rozwojowych powiatu.

Problemem kapitalnej wagi staje się zabudowa Puław. Czy mają stać się one miastem, miastem trudnym do administrowania i kierowania gospodarką? Czy nie lepiej przyjąć koncepcję rozbudowy okolicznych miejscowości, takich jak Góra Puławska, Końskowola, Gołab i inne? Są to zagadnienia wciąż nie rozstrzygnięte, a coraz częściej powtarzające się w rozmowach.

Słowem, wylania się olbrzymi obszar zagadnień o charakterze nie tylko doziemnym, lecz dalego wybiegającym w przyszłość. Te zagadnienia ktoś musi wziąć na warsztat. Inspiracją wychodzącą z Komitetu Powiatowego PZPR — nie wystarczy, choć jest niezwykle cenna. Nieodzowna jest dobre zorganizowana władza miejska, dysponująca doskonałymi fachowcami z dziedzin planowania, znajomości spraw inwestycyjnych, społecznych i gospodarczych. Obecnie w Puławach nie dość że nie ma takiej władzy, to na domiar nie ma nawet warunków na jej szybkie stworzenie.



diów winny być studia równoległe bądź obierając filozofię jako wydział główny, bądź też jako poboczny”.

Autor opowiada się za rozwiązaniem drugim.

Zabiera też głos w dyskusji rektor UMCS G. L. Seidler pisząc „O dwu niezbędnych integracjach”. Sądzę, że uniwersytety na przestrzeni historii wytrzymywały próbę czasu, one w przeciwnieństwie do szkół specjalistycznych silnie odzwierciedlały idee społeczno-polityczne swoich czasów. To jest cecha, która je wyróżnia. Po kryzysie ostatniej wojny uniwersytety stoją przed zadaniami trudniejszymi. Nie tylko mają dawać wiedzę fachową i budzić zainteresowania społeczno-ideowe, ale

„uczycy krytyczno-refleksyjnego myślenia, które pozwala przewidywać następstwa obserwowanych zjawisk, a impulsywną reakcję zastępować chłodnym rozumowaniem. Ale co najważniejsze, na uniwersytetach przede wszystkim spada kardynalny obowiązek osądzenia i wartościowania zjawisk ze stanowiska prawdziwego humanizmu”.

I jeszcze konkluzja: „Dzisiejszy uniwersytet stoi (...) w obliczu dwu integracji: jednej środowiskowej — zewnętrznej oraz drugiej, trudniejszej — wewnętrznej, która w ramach ucelni winna doprowadzić do uformowania się większych zespołów badawczych. Granicę tej integracji zależą od konkretnych warunków danego środowiska i nie mogą być mechanicznie narzucone”.

Z tymi głosami korespondują wypowiedzi zamieszczone na ten temat przez niektóre tygodniki. „Polityka” drukuje artykuł J. Szczepańskiego, który był wygłoszony na wspomnianym seminarium w Lublinie. Autor określa podstawowe cechy polskich uniwersytetów socjalistycznych. Wyróżnia ich trzy: centralne planowanie powiązane potrzebami wszystkich dziedzin gospodarki, podleganie kierownictwu politycznemu oraz zasada podziału zadań między uniwersytetami a innymi szkołami wyższymi. Następnie Szczepański omawia rozmaite sprawy związane z uniwersytetami: sprawy tradycji, planowania, programów, pracowników naukowych, wreszcie — administracji. Zastanawiając się nad funkcjonowaniem uniwersytetu autor stwierdza, że nie w formach jest nadzieja, że nie zawsze wino jest po stronie uczelni. Konkluzję warto przytoczyć:

„Czas stwierdzić, że wiele trudności naszej pracy wynika z funkcjonowania gospodarki i instytucji politycznych naszego społeczeństwa. Nie jest w tej chwili palącym problemem kształcenie, lecz wielominowe nieporozumienia i wykształconych, a to leży poza zasięgiem możliwości uniwersytetów. Nie leży w naszych możliwościach ani uporządkowanie gospodarki, ani lepsze zorganizowanie pracy w zakładach, ani podniesienie poziomu moralnego życia publicznego, ani opuszczenie płynności i zmienności systemów instytucji, do których wciąż uniwersytety muszą się przystosować zmieniając elan na nowo swoje plany, słowem poza nami i możliwością naszego oddziaływania leży znaczna część trudności pracy uniwersytetów. Moim zdaniem podstawową trudnością uniwersytetów jest brak stabilizacji, stan permanentnej reformy i zmian. W tej sytuacji nie ma mowy ani o powadze studiów, ani o nowadze uczelni, ani o powadze władz, które te zmiany wprowadzały. Przez wyłączenie tej trudności leży chyba w dążeniu uniwersytetów do podstawowych tendencji rozwojowych społeczeństwa socjalistycznego a nie do kastei aktualnej zmiany w układzie instytucji”.

W „Zwieciu Literackim” B. Sucheński drukuje artykuł pt. „Uniwersytet wyobcowany”. Zgodnie z sensem tytułu autor wskazuje na daleką posuniętą izolację dzisiejszego uniwersytetu od zapotrzebowań społeczeństwa. A przecież obok tradycyjnych zadań uniwersytet mógłby z powodzeniem prowadzić kształcenie dorosłych na poziomie wyższym. Dysponuje przecież całą specjalistyczną różnorodnością dziedzin, którzy sami pracują twórczo. Dzięki temu uniwersytet jest w dużo lepszej sytuacji, niż pozauniwersyteckie instytucje oświaty dorosłych. Niedzi uniwersytetem a społeczeństwem istnieje przepaść, „której wcale nie ma, gdy profesor tegoż uniwersytetu stała przed telewizyjną kamerą lub gdy wydaje książkę znikającą z półek w ciągu kilku dni”.

Dyskusja o uniwersytecie została zaledwie zapoczątkowana, a już trzeba powiedzieć, że przyniosła wartościowy i interesujący plan. Można mieć nadzieję, że nie skończy się na dyskusjach, ale że przyczyni się one do uoskonalenia modelu i pracy współczesnego uniwersytetu.



W TYM wielkim Roku XX-lecia PKWN, będącym Rokiem Ziemi Lubelskiej, który dobiegając końca, ca pozostała cała bogactwo wrażeń, jednym z najmilszych akcentów był niewątpliwie jubileusz pierwszego teatru Polski Ludowej, uświetniony w dniu 23 listopada uroczystą premierą „Wesela”. Dlatego szczególnie miłym był akcentem, że gdy teatr stara się z pełną dobrą wolą dotrzeć w głąb społeczeństwa, zyskuje on szczerzych przyjaciół tam, gdzie kontakt ze sztuką teatralną jest jakoś świątecznie radosny.

Tę prostą prawdę potwierdziła chociażby jubileuszowa wypowiedź przedstawiciela Bilgoraja, nacechowana niekłamną sympatią i wdzięcznością dla artystów Teatru im. J. Osterwy. Taki gorący stosunek do naszego teatru można chyba uznać za typowy, bo objawia się on w różnych okolicznościach również na innych terenach województwa. I gdy się powie, że teatr nasz odwiedził w sezonie 40 miejscowości, mając tam na spektaklach blisko 70 000 widzów, to czytelnik nie pozbawiony wyobraźni powinien odczuć życiową istotę tych liczb.

Świętu Państwowego Teatru im. J. Osterwy, które wypadło okazałe i wzruszające, zostało opisane dokładnie w prasie codziennej, mnie zaś tutaj trudno oprzeć się pokusie wygłoszenia małej pochwały JUBILEUSZU jako zjawiska społecznego. Sądzę mianowicie, że ludzkość wpadłaby może w hiperkrytycyzm, gdyby nie przyjęła przed wielkimi zbawiennej konwencji uznającej liczby lat, co kończą się zerem lub piątką, za świętą sposobność do uczczenia poszczególnych osób bądź instytucji. Jubileusz bowiem zasnuwa do brotliwą mgiełką wszelkie niedostatki i błędy, kierując skwapliwie reflektor na zasługi, przedtem czestokroć nie dostreżane albo i wręcz negowane. Serio, jest coś bardzo ludzkiego w poręczym pięknego uczucia eksponującego *summum bonum* czyjeś długotrwałej działalności, związanej przeważnie ze sporą dozą trudów, trosk, gorczy i pokonywania przeszkód.

Nie inaczej rzecz się miała i z jubileuszem Teatru im. Osterwy. Dopiero w świetle tak zwanych podsumowań można było sobie uprzytomnić cały wymiar dzieła dwudziestolecia teatralnego, przebiegając myślą drogę, którą teatr lubelski podążał w nowe czasy po wyjściu z niebytu okupacyjnego.

Niech ten, komu wiek pozwala, przypomni sobie owe początki.

Tuż-tuż kolo teatru, oddzielony od niego rozłożystym podwórzem, stoi parterowy domek — domeczek, który zachował ślady dawnych ambicji: pilastry — wprawdzie ledwo zamarkowane — i niepomierne wysoką attykę. Nad drzwiami domku wisi czerwony sztyl z białym napisem — PREZYDIUM WOJEWÓDZKIEJ RADY NARODOWEJ WYDZIAŁ ZDROWIA I OPIEKI SPOŁECZNEJ ZAKŁADY NAPRAWCZE SPRZĘTU MEDYCZNEGO W LUBLINIE. Ale przeszło dwadzieścia lat temu mieściła się tutaj skromna kawiarenka, gdzie aktorki — Irena Ładosiówna, Julia Kosowska, Irena Starokówna, Halina Buyno podawały kawę, a mąż Ładosiówny, aktor Józef Klejer, pełnił funkcję szatniarza. Tu, jak w kawiarniach warszawskich, zarabiali na mizerną egzystencję znani artyści. Przyjeżdżała na występy Fontanówna, Helena Grossówna, przyjeżdżał Lawina i Rewkowski, Elektryowicz, Chór Juranda... I tu w czerwcu 1944 roku padły słowa: „Trzeba, żebyśmy byli gotowi”.

Front jeszcze był nad Bugiem, co noc w Lublinie rozlegała się syrena gestapowska, kiedy Irena Ładosiówna i Józef Klejer nosili się już z konkretnymi planami przebudzenia z letargu polskiego życia teatralnego. Władomo, kawiarnie nieraz bywały nie tylko siedliskiem plotki, ale i kolebką twórczych pomysłów.

Marzenia snuły się górne — „Kordian”, „Wesele”, dzieła, nad którymi się pracowało w czasie okupacji z przyszłymi aktorami. Rzeczywistość kazała poprzestać na „Moralności pani Dulskiej”. Egzemplarz zdobyto w zdewastowanej czytelnicy, rolę wykradziono spod nosa Niemcom z biblioteki teatralnej. Pierwsze próby z niepełną obsadą odbywały się w schronie. Opisuje to w swoich wspomnieniach Ładosiówna. Poza nią i Klejerem uczestniczyli w ryzykownym przedsięwzięciu — Maria Górecka i obecny aktor wrocławski Mieczysław Łoza. Wtedy byli jeszcze uczniami Ładosiówny. Ale najlepiej oddajmy głos jej samej:

„Okres walk o Lublin zgromadził nasz „Zespół” w piwnicy naszego mieszkania (Narutowicza 34). Potem staraliśmy się dotrzeć do gmachu teatru, co nie jest takie proste, bo przez „front uliczny” trudno się przebić. Pierwszy dokonuje tego mój mąż z patrolem. Widok okropny. W podwórzu porzucono skrzynie z kostiumami, podobno zrzuczone z ciężarówki w czasie uciecz-

# W aurze Jubileuszu

MARIA BEHCZYC-RUDNICKA

ki Niemców. „Szabrownicy” już działają. Wszystko porozbijane, pocięte części kotar, z kanap powycinane części materiału.

Przy pomocy oficera Armii Radzieckiej mąż mój wraz z żołnierzami zbierają ocalałe rzeczy i skrzynie i umieszczają je w magazynie pod sceną... Zjawiają się chętni i uzbrojeni chłopcy z opaskami, którzy zabezpieczają także wejście do teatru”.

Przybywają jeszcze inni aktorzy: Edward Kowalczyk, Mieczysław Wielicz, Mikołaj Samochocki, Irena Bielenin, Jerzy Sliwa, Maria i Przemysław Zieliński...

12 sierpnia owego roku 44 odbyła się premiera. Oczywiście „Moralność pani Dulskiej” nie była sztuką na miarę radzieckiej chwili, a przecie taki był głód polskiego słowa, że społeczeństwo odebrało spektakl jako wielkie wydarzenie kulturalno-narodowe. I to dlatego na biało-czerwonej wstędze wieńca wręczonego Ładosiównie od ministra Rzymowskiego znalazł się złoty napis: „Wskrzesiciele Polskiego Teatru”.

Ten zespół entuzjastów, pracujący na zasadzie teatru działowego, wystawił przez dwa i pół miesiąca pięć sztuk, m. in. „Jeńców” Rydla i „Przezióreczkę” Zeromskiego. Widziałam te przedstawienia, gdy na początku października przyjechałam do Lublina. Zaskoczył mnie ich wysoki poziom. Był, że się tak prozaicznie wyrażę — procentem od wielkiego kapitału miłości do sztuki i wiary w Polskę Ludową.

Nie tylko aktorzy wnieśli ten kapitał do dziewiętnastowiecznego gmachu teatru lubelskiego. Personalnie techniczny również. Brygadziści Edward Klimek, fryzjerzy Franciszka i Marian Marzyccy, rekwizytor Stefan Zebrowski i wielu innych. Niech mi wolno będzie posłużyć się jeszcze jednym cytatem, z wypowiedzi dzisiejszej portierki Czesławy Szymańskiej, dla której mam sentyment i szacunek za jej wyjątkowe rozumienie spraw teatralnych:

„W teatrze jestem od roku 1929. Pracowałam przywrotnie w szatni za 50 groszy od wieczora. Od r. 1934 byłam na etacie sprzątaczką. W portierni siedzę 13 lat. Dużo Dyrektorów przetrzymałam (wybaczenie — to autentyk! — m. b.-r.). Pamiętam Stanisława Wysocką, Wasiłewskiego, Grodnickiego, Dziwulskiego, Barwińskiego, Rodziewicz, Strachockiego — sprzed wojny. Pamiętam świetność i upadki Teatru.

Było mi bardzo ciężko w teatrze przed wojną. Nie śniło mi się, żeby gdzie na wczas pojechać. Podczas wakacji marzyłam tylko, ażeby Magistrat remont zarządził, to bym parę groszy zarobiła.

W czasie okupacji Niemcy stale grozili Majdankiem. Nie wiem już, jakim cudem się przetrwało. Po wyzwoleniu, ledwo działa ucichły, pierwsze kroki były do teatru — czy teatr aby stoi? No i stał, ale zgruzowany. Baldygowa i ja samorzutnie wynosiłyśmy rękami pociski i gruz, bośmy czuły, że teatr przedko będzie potrzebny, bo nasza dywizja Kościuszkowska była już w drodze. Od tej pory Teatr stał się moim drugim domem i całym światem”.

Potem grupa pionierów weszła w skład zespołu objazdowego Teatru Wojska Polskiego, który po przejściu do gmachu teatru dramatycznego z prowizorycznej siedziby w Domu Żołnierza, zabłysnął w ciągu trzymiesięcznej działalności w Lublinie wspaniałymi spektaklami „Wesela”, brzmiącego jak obrachunek ze starymi czasami i komentarz do klęsk narodowych. Podziwialiśmy następnie Woszczerowicza w „Dożywociu” Fredry. To błyskotliwe intermezzo musiało się jednak niebawem skończyć. Teatr Wojska opuścił Lublin w styczniu 45 roku dla wykonania swoich właściwych zadań frontowego teatru objazdowego. Troška stworzenia w Lublinie teatru stalego przypadła w udziale warszawskiemu aktorowi Antoniemu Różyckiemu, z którym Zarząd Miejski zawarł już formalną umowę. Część zespołu TWP skupiła się przy Różyckim. Doangażował jeszcze kilku wybitnych aktorów i po paromiesięcznej przerwie dał 20 marca przedstawienie „Skiza” Gabrieli Zapolskiej w „koncertowej” obsadzie.

Kiedy przeglądam dzisiaj długi spis sztuk wystawionych w ciągu dwóch lat dykcji Różyckiego (z którym współdziałał Karol Borowski, Gustawa Błomska i Irena Ładosiówna), doprawdy wstyd mi się robi na myśl o kropelkach jadu, jakie dolewałam nieraz do atra-

mentu pisząc recenzje w wychodzącym wówczas w Lublinie dwutygodniku „Zdrój”. Czyż miało wtedy sens domaganie się „profilu”, którego dziś jeszcze brak większości teatrów? Stawiano przecie dopiero pierwsze kroki w zdobywaniu nowych widzów. Sądzę, iż należy zapisać na konto Różyckiego poważną pozycję już choćby za to, że w prymitywnych warunkach odbudowywanej po wojnie placówki zdołał dać Lublinowi znakomite realizacje Fredrowej „Zemsty” i „Pana Jowialskiego”, „Marii Stuart” Słowackiego, „Ziemii nieludzkiej” de Curela, „Nadziei” Heijermanna, Mussetowskiego „Świecznika”, „Zamachu” Brezy i Dygata, „Adwokata i róż” Szaniłowskiego... A w repertuarze rozrywkowym (któremu dziś przyznajemy prawo obywatelstwa) pokazał, czym jest prawdziwy, zawodowy kunszt aktorski i reżyserki. Nikt więc obecnie chyba nie zakwestionuje cennego wkładu Antoniego Różyckiego i jego współpracowników w ogólny dobrotek teatru mającego za patrona wielkiego aktora Juliusza Osterwę.

Ale teatr Różyckiego nie był jeszcze stałym lubelskim teatrem. Pracował raczej w klimacie tymczasowości. Tych „gwiazdorów” musiały w końcu pociągnąć większe centra kulturalne. Gdybyśmy więc usiłowali teraz zestawić osiągnięcia dzisiejszej dykcji Teatru im. Osterwy z dorobkiem Teatru Miejskiego lat 1945—47, skrzywdzilibyśmy niewątpliwie zarówno Różyckiego, jak Torocińskiego. Różyckiego dlatego, że w pierwszych latach powojennych nie mogło być mowy o promieniowaniu na teren, a Torocińskiego z tej prostej przyczyny, iż dzisiaj żaden teatr poza Warszawą i Krakowem nie skompletuje takiego zespołu, jakim rozporządzał w Lublinie Antoni Różycki.

Wydać mi się tedy, że przyjmując za początek stałego wojewódzkiego teatru dramatycznego w powojennym Lublinie okres dykcji Maksymiliana Chmielarczyka, tj. lata 1947—52, scharakteryzuje się najtrafniej zmianą, jakie zaszły w lubelskim życiu teatralnym za ostatnie lata.

Na przykład repertuar? Lata 1947—1952, przypomnijmy to sobie, były latami receptury procentowej: 50% sztuk polskich, tyle a tyle klasyki rosyjskiej, tyle sztuk nowoczesnych, tyle sztuk autorów demokracji ludowych, tyle pozycji z dramaturgii zachodniej. Były to zarazem czasy sprzyjające polskiej klasyce, zresztą nie tylko polskiej. W repertuarze Chmielarczyka znajdujemy

Shakespeare’a („Poskromienie złośnicy”, „Wieczór Trzech Króli”), Moliere’a („Świętoszek”, „Skąpiec”, „Chory z urajem”), Lope de Vega („Pana wrota”), Beaumarchais’a („Wesele Figara”), Bernarda Shaw („Pigmaliion”, „Zamieszanie i donater”), Gorkiego („Legat Bułczyrow”), Z polskiej dramaturgii jest Słowacki („Balladyna”), Fredro („Damy i huzary”), Bałucki („Kłęb kawalerów”), Zapolska („Moralność pani Dulskiej”), Ferzyński („Szczęście Franika”). Ze współczesnych polskich pisarzy — Szaniłowski („Dwa teatry”), Iwaszkiewicz („Lato w Nohant”), Morstin („Obrona Ksantypy”).

Jest to repertuar nobliwy, spokojny, pewny, bez ryzykownych wlotów. Dykcja dbała jednak o wyrobienie „procentu” nowoczesności. Ale była to nowoczesność na miarę etapu, a więc, poza świetnymi, nie ograniczającymi „Niemcami” Kruczkowskiego, „Próba sił” Lutowskiego, „Strzały na ulicy Długiej” Swirszczyńskiej, „Wczoraj i przedwczoraj” Maliszewskiego. Ze sztuk zachodnich — z tego, co było wówczas dostępne — całkiem jednoznacznie „Lisie gniazdo” Lilliany Hellman i jako szczyt nowości formalnej... „Pan inspektor przyszedł” Priestleya. Chmielarczyk wystawił też kilka sztuk radzieckich, zamówił nawet specjalnie parę przekładów. „Przyjaciół” Uspieńskiego, rzecz prościutką, ale przyjemną, która obeszła potem prawie wszystkie sceny polskie, przełożyła niżej podpisaną, „Kalinowy gaj” Korniejczuka i satyrę „Trzy razy nie” Dychowicznego i Siobodskoja — przetłumaczył lubelski zespół Zaloga nr 1. Poza tym grano z powodzeniem farsę Isajewa i Galicza „Tu mówi Tajmyr”, „Pieją koguty” Baltuszisa i z mniejszym sukcesem „Błękitną porcelanę” Grigulisa, rzecz charakterystyczną dla okresu produkcyjniaków.

Krótko mówiąc, repertuar był raczej „na poziomie” i konformistyczny, jeśli nie liczyć jednego *faux pas* — wystawienia pikantnej farsy Hennequina i Vebera „Codziennie o piętej” — w trośce o kasę (przed upaństwowieniem), kiedy szczególnie dawała się we znaki konkurencja Teatru Muzycznego.

Plus minus po tej samej linii układa się i repertuar następnego dyrektora — Jerzego Uklei. Dominuje tu niezawodna klasyka: Moliere, Fredro, Zapolska, Rittner. Ale jest już i mniej ograniczona „Szkoła kobiet” Bogusławskiego, całkiem nie grana u nas „Latarnia” Jiraska, „Skradzione szczęście” Iwana Franki. A więc zarysowuje się tendencja do poszukiwania pozycji niespopularyzowanych. Poza tym widzimy dwie dobre sztuki radzieckie — „Poemat pedagogiczny” Makarenki i „Młodość ojców” Gorbatowa. Z polskiej dramaturgii współczesnej to, co się jeszcze dało grać: „Dom na Twardej” Korcellego i „Takie czasy”, ówczesny szlagier Jurandota, kompensujący fiasko dramatu wiejskiego Romana Bratnego „Sześć godzin ciemności”.

(Dokończenie na str. 8)

Z przedstawień P. Teatru im. J. Osterwy: „Król i aktor” R. Brandsaettera w reżyserii Zofii Modrzejewskiej i oprawie scenicznej Teresy Targońskiej. Na zdjęciu — Kazimierz Siedlecki (Bogusławski) i Marek Idziński (Stanisław August).





# KONCEPCJA UNIWERSYTETU

EMANUEL ISERZON

**Z**AGADNIENIA organizacyjne szkoły wyższej stały się — w skali światowej — czołową problematyką w nauce administracji. W USA powstała w latach pięćdziesiątych bieżącego stulecia tak obfita (choć bardzo mało wnikliwa) literatura w tym zakresie, że w r. 1958 Columbia University ogłosił bibliografię dla zarządców amerykańskich szkół wyższych. Nigdy jeszcze w tym kraju wyższe wykształcenie nie odgrywało takiej roli, jak obecnie. Snuje się wielkie plany. Do 1970 r. ilość studentów szkół wyższych ma wzrosnąć do 7 milionów (1961 — 3,5 mln). Wprawdzie powołana przez prezydenta Eisenhowera komisja do spraw wyższego wykształcenia uznała ten plan za trudno wykonalny. „Opinia publiczna, pisała ona w swoim sprawozdaniu z 1957, żąda od college'ów i uniwersytetów niemal cudów”. Ale wielkość planu świadczy o tym jak wysoko rząd USA ocenia wpływ wyższego wykształcenia na rozwój kultury, w szczególności techniki. Sukcesy Związku Radzieckiego w dziedzinie opanowania kosmosu wzmogły znakomicie zainteresowanie rządu USA dla wyższego wykształcenia (niedawno slyszalem w audycji radiowej z Waszyngtonu o wzroście funduszy na stypendia studentów: „Kiedy Rosjanie umieścili po raz pierwszy swego „Lunika” na orbicie okoloslonecznej, nie podejrzewali, jaki to będzie miało wpływ na losy naszej młodzieży studenckiej”).

Problematyka szkoły wyższej, która nie przekraczała dawniej granic miasta lub państwa, stała się w naszym stuleciu problematyką międzynarodową przede wszystkim dzięki współpracy państw w ramach UNESCO. I w tym wypadku nie pozostał bez wpływu lek przed postępem wyższego wykształcenia w Związku Radzieckim. W 1959 r. odbyła się konferencja międzynarodowa dla studentów w sprawie wyższego wykształcenia w Uniwersytecie Moskiewskim. UNESCO zaczęła publikować prace z dziedziny organizacji szkolnictwa wyższego i inicjować współpracę na tym polu uniwersytetów różnych krajów. U nas w ostatnich latach również wzrosła troska o reformę, a nawet przebudowę szkoły wyższej. Zakład Badań nad Szkolnictwem Wyższym przy Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego rozpoczął jeszcze w roku bieżącym wydawanie materiałów poświęconych reformom szkolnictwa wyższego zarówno w krajach kapitalistycznych, jak i socjalistycznych. Wśród wielu zagadnień objętych problematyką szkolnictwa wyższego wystrzeliło — w związku z obchodem XX-lecia UMCS w Lublinie zagadnienie szczególne: „Quo vadis, universitas?”.

W „Nowych Drogach” ukazał się artykuł wiceminister Eugenii Krasowskiej na temat „W poszukiwaniu koncepcji współczesnego uniwersytetu” (nr. 10 br.). W ramach uroczystości XX-lecia UMCS odbyło się w dn. 24 października ogólnopolskie seminarium poświęcone „socyjalistycznej koncepcji uniwersytetu”. W „Nowych Drogach” ukazał się szereg artykułów na ten temat (nr. 11 br.). Zapowiedziane są przez redakcję tego czasopisma dalsze wypowiedzi.

Traktowanie narzucających się uczestnikom życia uniwersyteckiego zagadnień w zakresie organizacji uniwersytetów jako objawu „kryzysu uniwersytetu” jest na pewno błędne. Przez kryzys rozumiemy taki stan rzeczy, który jest objawem zbliżania się katastrofy, objawem wymagającym natychmiastowej decyzji co do środków zaradczych. Kiedy Voltaire'owi zwrócono uwagę, że kawa zawiera truciznę, odrzekł: „Widocznie bardzo wolno działająca, bo oto już piję kawę 70 lat z niesłabnącą satysfakcją”. O „kryzys uniwersytetu” w związku z wyodrębnieniem się wielu szkół specjalistycznych mówimy chyba już tyleż lat... Mamy więc do czynienia z „kryzysem” bardzo dobrośliwym.

Tyle, że utraciliśmy nieco wiary w zbawienny wpływ uprawiania zawodu naukowego na moralność absolwentów uniwersytetów — wiary cha-

rakterystycznej dla pierwszej połowy XIX wieku. Ale nie jest to konsekwencja „kryzysu uniwersytetu” — zaprzeczca temu wspaniały rozwój wiedzy od połowy XIX wieku, której twórcami są przecież przeważnie wychowankowie uniwersytetów. Jest to skutek przeżytych prób moralnych, które nie natchnęły nas wiarą w morale intelektualistów.

Na czym polega tzw. kryzys uniwersytetu? Wyodrębniły się zespoły dyscyplin i kierunków w postaci samodzielnych uczelni: rolniczych, medycznych, ekonomicznych, teologicznych. Nawet kierunki humanistyczne i przyrodnicze oraz matematyczne i fizyczne, tzw. „nauczycielskie” zaczynają wieść żywot równoległy z analogicznymi dyscyplinami uniwersyteckimi w postaci wyższych szkół pedagogicznych. Uniwersytet był uważany za monopolistyczną instytucję dostarczającą inteligencji zawodowej z wyższym wykształceniem. Podobne zadania spełniają dziś liczne i rozmaite instytucje, mianowicie: wyższe szkoły akademickie medyczne, techniczne, rolnicze, ekonomiczne, wojskowe, pedagogiczne, muzyczne, teatralne, sztuk plastycznych, wychowania fizycznego, teologiczne, placówki naukowe PAN i jeszcze inne. Narzuca się pytanie: czy jest to proces nieunikniony, który w swym dalszym rozwoju doprowadzi do zaniku tradycyjnego uniwersytetu,

czy też w wyniku tego procesu uniwersytet nie straci racji bytu, a może nawet zyska swój cel osobliwy?

Uniwersytet łączy w ramach swojej organizacji dwie komórki: szkołę masowego nauczania i warsztat naukowy obsługiwany przez nieliczną kadrę naukową. Z. Klemensiewicz w następujący sposób uzasadnia rację tej symbiozy: „Ta jego działalność... (prowadzenie warsztatu naukowego obok pedagogicznego) jest niezbędnym warunkiem dydaktycznych i wychowawczych usług uniwersytetu. Tylko w atmosferze badawczo-twórczej można dostarczyć wychowankowi (uniwersytetu) wiedzę żywą, która nie jest wolna od wątpliwości (tak przecież bardzo twórczej), która wysuwa problemy nie zawsze całkowicie rozwiązane, która prowokuje i podnieca do poszukiwań, która wciąż staje się, rośnie, owocuje”. („Nowe Drogi” nr 11 br.). Osobiście podzielam ten pogląd bez zastrzeżeń — jakkolwiek nie uważam go za niesporny. Dodam jeszcze, że jeżeli uniwersytet ma prowadzić nie tylko szkołę (nauczanie) na bazie żywej nauki, ale również kształcić adeptów nauki, powinien być zarazem szkołą i warształem naukowym. Uprawianie nauki w pewnej dziedzinie jest zawodem jak każdy inny. Nie można kształcić adepta pewnego zawodu bez „przyuczania” go do tego zawodu w ramach warsztatu pracy.

„Przyuczanie do zawodu” może odbywać się tylko w samym warsztacie przez wdrażanie adepta do zawodu w samym procesie produkcyjnym. Z drugiej strony nauczyciel uniwersytecki, jeżeli ma zrealizować postawione mu ustawowe zadanie (kształcenie i wychowanie kadr wysoko kwalifikowanej inteligencji zawodowej, przygotowanie do wykonywania zawodów wymagających naukowego opanowania określonej dziedziny wiedzy”, ustawa z 1958 r. o szkolnictwie wyższym) — musi utrzymywać swoją własną wiedzę na poziomie, który nie może być zachowany bez wykonywania pracy naukowej (naukowo-badawczej). Wiadomo, że spora część uniwersyteckiego ciała nauczającego nie uprawia nauki zawodowo. Jednak interesuje się nauką w zakresie wykładanej wiedzy — nie uważając jej za swe źródło utrzymania oraz główne zajęcie. Zainteresowanie nauką nie może nie być połączone z wykonywaniem pracy naukowo-badawczej — choćby w sposób niezawodowy. Ilość produkcji, przepustowość warsztatu naukowego nauczyciela uniwersytetu nie ma tu znaczenia. Często nauczyciele uniwersyteccy uprawiający naukę w sposób zawodowy są gorszymi dydaktykami, niż niezawodowi naukowcy.

I tak uniwersytet powinien być nie tylko szkołą, ale i warształem nauko-

(Dokończenie na str. 14)

**R**OZWOJOWI polskiej fotografii artystycznej towarzyszyły na ogół analogiczne procesy, jakie charakteryzowały burzliwe dzieje twórczości fotograficznej na całym świecie. Z tą może różnicą, że okres przedwojenny cechował dłuższy okres stagnacji, niż gdzie indziej, ponieważ z dłuższym uporem utrzymywał się model fotografii „malarskiej”, zaprzęgnięciem się w istniejące konwencje plastyczne wobec braku poważniejszej myśli teoretycznej na temat miejsca, roli i odmienności dzieła fotograficznego, co znajdowało na przykład swój wyraz w rozważaniach teoretyków niemieckich (*Neue Sachlichkeit*) z lat dwudziestych. W tym czasie królowała u nas pieczołowicie pielęgnowana fotografia poszukująca „pięknych widoków” i „pięknych dzielnic” według wzorców malarskiego widzenia świata, z ambicją zachowania jak najbardziej zbliżonych efektów, składających się na pejzaż czy scenę rodzajową w myśl estetycznych i tradycyjnych kanonów tego typu malarstwa naturalistycznego. Najwyższy poziom tak rozumianej funkcji estetycznej fotografii reprezentował Jan Bulhak. Trzeba oddać mu wszakże sprawiedliwość, że był on niestrudżonym animatorem zachęcającym wielu ludzi w Polsce do robienia zdjęć i do rozmówienia się w tej nowej dziedzinie działalności. I tu nasuwa się pytanie: jakiej działalności? Artystycznej, rzemieślniczej, technicznej? Nikt w owych czasach nie zdawał sobie jeszcze sprawy, do jakiej dziedziny działalności twórczej zaliczyć fotografię, toteż pewne wzruszające i bardzo podretuszowane widoczki nasuwały przypuszczenie, że objawił się paralelny kierunek plastyczny artystycznie zbratany z malarstwem. Ponadto jeszcze istniało coś pośredniego w sensie fotografii użytkowej.

Od tych zamierzonych początków jesteśmy już daleko, ale gwoli prawdy trzeba stwierdzić, że dopiero w ostatnich latach nastąpił rzeczywiście burzliwy rozwój fotografii w Polsce, pozwalający nam stanąć w rzędzie światowej konkurencji na wystawach międzynarodowych.

Na rozwój ten niemały wpływ miały toczące się w środowisku fotografów i teoretyków fotografii dyskusje, na temat elementów składających się na pojęcie fotografii artystycznej i jaka jest jej rola we współczesnym świecie. Wielkim bodźcem do zerwania ze studynnością i staroświeckim „atelier” było pojawienie się po wojnie wielu tygodników ilustrowanych, których zapotrzebowanie dyktowane było poczuciem aktualności, oraz wkroczenie na lamy tych pism samodzielnego reportażu zdjęciowego. Rzecz jasna, że te nowe możliwości plus wzbogacenie arsenalu środków techniczno-laboratoryjnych, nie przesądziły jeszcze sprawy poziomu i wartości tych prac. Był to dopiero pierwszy krok, a przecież w naszym przekonaniu decydujący dla dalszych zmian, poszukiwań, doświadczeń i osiągnięć, które już dzisiaj mówią same za siebie. Fotograf coraz lepiej zaczął pojmować, że posiada w swych rękach narzędzia i warsztat pracy o innych możliwościach, dających inne efekty, niż dzieło malarza, czy grafika. Świadectwo odtworzenia, przekaz dokumentarny, wierność ukladów rzeczywistemu przedmiotów, oto konsta-

tacje, które okazały się nagle ważniejsze i ciekawsze, niż wszelkie spekulacje na temat kompozycji obrazu, czy estetyczne podszepty na temat plastycznego rozmieszczenia i porządkowania malarskiego pola widzenia. Dynamika i znamienność faktów w samym życiu, konieczność błyskawicznego notowania zjawisk, skierowały działalność większości fotografów na inny styl pracy, odmienny sposób reagowania na rzeczywistość i jej złożone i różnorodne przejawy w szerokim ukladzie wydarzeń.

## POGLĄDY I PRZEGLĄDY

# TAKĄ MAMY FOTOGRAFIĘ

JERZY GEMBICKI

Ten pierwszy odświeżający nurt nie był wolny oczywiście od pewnych seryjnych i schematycznych skutków. Stereotypowość pewnych ujęć, banalność powtarzających się motywów i faktów, na pewno nie budzi już dziś naszego entuzjazmu. Niemniej jednak z tych pierwszych prób zrodził się głębszy stosunek do własnych poczynań, bardziej świadomy i odpowiedzialny wybór własnej drogi artystycznej, bardziej indywidualizowana forma traktowania tematów, nadanie pracom osobistego piętna i charakteru. Bo cokolwiek powiedzielibyśmy o bezstronności, obiektywizmie samej fotografii jako formie uwidocznienia konkretnego obrazu rzeczywistości, pozostaje jeszcze — niemało zresztą ważny — margines osobistego zaangażowania się fotografa, jego postawa wobec humanistycznych treści naszego życia, jego pogląd na społeczne i ideowe principia światopoglądowe. Wystarczy przytoczyć tu pełną wymowę wystawę „Family of Man” czy wystawę w Warszawie „Interpres — Foto 1964”.

Ostatnia Ogólnopolska Wystawa Fotografii w sposób jak najbardziej przekonujący wykazała właśnie, że zdjęcia poświęcone Dwudziestolecu Polski Ludowej mogą stać się wyrazem harmonijnego intelektualnego i emocjonalnego zaangażowania się w problematykę bliską narodowi, jak odbudowa i wszechstronny rozwój kraju, bez rezygnacji z osobistego wyboru środków wyrazu, przekreślających z góry wszelką sztampowość i oficjalizację.

Uwagi te byłyby niepełne, gdybyśmy nie podkreślili w rozwoju polskiej fotografii udziału Związku Polskich Artystów Fotografików. Jego działalność zresztą jest coraz bardziej znana także i za granicą. ZPAF w latach 1961—1964 zorganizował w kraju 215 wystaw zespołowych i indywidualnych. W tym samym okresie obeśl również 164 wystawy międzynarodowe, zaprezentował 16 wystaw fotografii polskiej za granicą. ZPAF zorganizował ponadto 2 wystawy między-

narodowe (II Międzynarodowa Wystawa Izohelli oraz I Biennale Fotografiki Krajów Nadbałtyckich w Malborku). Sprowadzono także do Polski 9 wystaw zagranicznych. Żywej działalności artystycznej ZPAF i jego członków towarzyszyło duże uznanie w kraju i za granicą, wyrażające się szeregiem nagród i wyróżnień (21 nagród ministerstwa kultury i sztuki, 27 dyplomów honorowych ZPAF, 4 medale złote, 7 medali srebrnych, 9 brązowych, 11 innych nagród i 24 dyplomy honorowe).

Ponadto FJAP przyznał członkom ZPAF dalsze trzy tytuły EFJAP i 21 tytułów AFJAP. Osobnym dowodem uznania dla fotografii polskiej może być zaproszenie do jury wystawy Foto-Kina w Kolonii przedstawiciela ZPAF jako jednego z trzech międzynarodowych jurorów.

Na zakończenie tych ogólnych uwag warto wymienić choćby kilka nazwisk tych autorów, których prace fotograficzne znalazły uznanie w kraju i za granicą. Nie wymieniamy oczywiście większej liczby autorów zasługujących na pewno na wyróżnienie, idzie nam bowiem o podkreślenie kilku nazwisk reprezentatywnych dla zasadniczych kierunków w polskiej fotografii. Jednym z takich autorów jest np. Edward Hartwig\*, autor cyklu zdjęć zza kulis teatru. Wystawa tych prac wykazała nie tylko wysoką klasę zawodową Hartwiga, ale przede wszystkim pokazała, jak z dość „ograniczonego” i dość często eksploatowanego tematu potrafił on wydobyc nowe wartości, nacechowane głęboko ludzką atmosferą, pełne dyskrecji, taktu i mądrości. Ciekawą indywidualnością jest Stefan Arczyński z Wrocławia (wkrótce odbędzie się jego wystawa w Stanach Zjednoczonych), poszukujący własnego wyrazu w dużych zestawach reporterskich, jak np. reportaż z USA, czy z Chin. Bliskie związki z dniem powszednim człowieka, jego troskami i radościami prezentują znów prace Janiny Gardzielewskiej z Bydgoszczy, skupiającej uwagę na węższym niejako wycinku życia, osiągnącej pełne wyrazu i skupienia studia obyczajowe.

Z młodych autorów duże sukcesy osiągnął Zbigniew Łagodzki z Krakowa. Bystry i inteligentny reporter, pełen rozmachu i inicjatywy, ciągle odkrywa i pelen świeżości obserwator zwykłych dni, zwykłych ludzi. W bardziej wyrafinowanej estetycznej dyscyplinie portretu filmowego zbiera laury Zofia Nasierowska, która zyskała już także nagrody za granicą. Ponadto plejada świetnych reporterów jak Wiesław Prażuch, Jan Kosidowski, Marek Holzmann i wielu wielu innych, którzy z lamów tygodnika „Świat” i miesięcznika „Polska” wypłynęli na szersze wody wystaw krajowych i zagranicznych, zyskując uznanie i powodzenie. Za nimi coraz więcej młodych, którzy z amatorskiego startu szybko dochodzą do dobrych rezultatów, o czym może świadczyć np. ostatnio konkurs otwarty na Wystawę Ogólnopolską, w której wiele prac na wysokim poziomie reprezentują autorzy nie związani z zawodowym ruchem fotograficznym.

\* Pochodzący z Lublina i dłuższy czas uprawiający tu swoją działalność.



# SPOTKANIA LIRYCZNE

Trzy rozmowy z Ludwikiem Hieronimem Morstinem

HELENA PLATTA

wła bardzo zagranicę. Tłumaczył ją także Słowacy z innych dzieł — wymienił szkic o Homerze „Ecce poeta”, następnie, jako rezultat pobytu we Włoszech ciekawa książka: „W kraju Latynów”. Wiele tłumaczeń i przekładów z greki, łaciny oraz świetne tłumaczenie „Antygony” Sofoklesa z przedmową autora. A jest jeszcze powieść współczesna „Rozgrzeszenie”.

Wracając do utworów scenicznych: wiele w swoim czasie pisało się o trylogii antycznej, na którą złożyły się: „Obrona Ksantypy”, „Penelopa” i „Kleopatra”, w sztukach tych poddaje autor rewizji tradycyjne poglądy na 3 postaci historyczne. Za „Obronę Ksantypy” otrzymał nagrodę Revnala. Grana była w Lucernie, wyświetlana w telewizji berlińskiej, a kobiety szwajcarskie nadesłały autorowi wiele listów i podziękowań. Grały ją także teatry czeskie i „szła” długo w teatrze Sleszwiku.

**ZONA:** Zrobił Pan cały wykład o twórczości męża. Chyba z okazji pięćdziesięciolecia pracy pisarskiej, która obchodzona była w zeszłym roku.

**L. H. MORSTIN:** Czy to nie za wiele na mój temat? Wydaje mi się, że nie jestem „modnym” pisarzem.

**JA:** Ależ porusza Pan zagadnienia nie tylko bardzo polskie — jak w Pana pierwszych utworach scenicznych — lecz także ogólnoludzkie, społeczne, ponadczasowe.

**PROFESOR:** A zaczynał Pan właśnie od patriotycznej nuty — w obrazku scenicznym, granym na amatorskich scenach „Na raclawickim błoni” (1906) w Krakowie. Jeszcze Lucjan Rydel, jako kierownik literacki teatru krakowskiego — przeglądał te pierwociny twórcze. Po powrocie ze studiów krzewił Pan i popularyzował piękno kultury antycznej, będąc redaktorem miesięcznika „Museum” (wraz z Kościelskim). W latach 1930—31 redagował Pan „Pamiętnik warszawski”. Zresztą nie sposób w ciągu jednego wieczoru powiedzieć wszystko o pięćdziesięcioleciu pracy twórczej i działalności popularyzatorskiej takiego pisarza.

**LISTONOSZ:** Początek do Pana Morstina.

**L. H. MORSTIN:** Jestem, jestem, proszę.

Gdy milkną na ścieżce kroki odchodzącego listonosza — narasta lipcowy  
(Dokończenie na str. 14)

## I Rozmowa

w ogrodzie, przed willą, o zachodzie słońca. Bardzo wysokie sosny oświetlone lipcowym reflektorem. Wiatr przepływa lekko poprzez akacje i tuje, rozchyla krzaki porzeczek, zmiata faldy leśnego poszycia i odsłania kurtynę upału. Przy ogrodowym stoliku stoją swobodnie lub siedzą cztery pierzosi z wymienionych osób.

**PROFESOR:** Umówiliśmy się na dziś do doktora na telewizję?

**JA:** Ależ tak: 13 lipca, godzina 8.30. Ma być „nadana” „Przygoda florencka”. Pamiętam, że parę lat temu wystawiał ją lubelski teatr. Grała tam doskonała aktorka — Nagórna. Uroczą współczesną komedię.

**ZONA:** Gdzież się Ludwik zapodział, teraz, gdy lada chwila przyjdzie Doktor. On zresztą tak zawsze z niepokojem, gorąco przeżywa ucieleśnienie swoich premier i to jest takie znamienne dla świeżości i, mimo wieku, młodzieńczości jej odczuć...

**L. H. MORSTIN:** (zbliżając się do towarzystwa): Omawiacie Państwo dzisiejszy wieczór? Mam nieco tremy, choć niepotrzebnie, bo sztukę reżyserował E. Dziewoński, a grają Sarnawska, Wołlejko, Meres, Skowrońska, Kondrat, Zabczyńska, Dziewoński.

**DOKTOR:** Zabieram panów do siebie; jest już po ósmej, więc ruszamy. Mieszkam niedaleko „Florencji” — a „Przygoda” nas — czeka.  
(wychodzą)

**ZONA:** Może kiedyś zobaczy Pani inną sztukę mego męża — „Kleopatrę”. Szła w Warszawie z niesłabnącym powodzeniem. W roli tytułowej — Nina Andrycz. W dniu święta lipcowego minęło ponad 100 przedstawień przy pełnych kompletach w Teatrze Polskim. Czy wie Pani, że napisana 12 lat temu wzbudziła obawy i żaden teatr nie chciał jej wystawić wówczas? Dziś — chyba „dojrzała” do tego, aby ją właściwie rozumieć. W utworze tym, poza wyeksponowaniem kobiety na planie pierwszym — przedstawiona jest walka, ścieranie się

i przenikanie, symbioza dwóch kultur: Egiptu, Rzymu, a mimo tematyki — zdawałoby się archaicznej — zagadnienie jest jak najbardziej aktualne, co odczuwa publiczność, tłumnie uczęszczająca do teatru.

**JA:** Wiem, że Pan Morstin — to mistrz formy teatralnej, widzący malarsko swoje utwory w ramach sceny, i chociaż w wielu jego sztukach zjawia się przewaga pierwiastka lirycznego — to jednak nie tłumni on bardzo oryginalnego, właściwego tylko niemu stawianiu problemów.

Słońce już pogasiło blaski na czubkach sosen. Granatowiec ściemniał scenę ogrodu. Tylko turkawka skanduje gruchający rytm zmierzchu.

## II Rozmowa

Ranek. Zielona weranda. Drgające cienie liści na ścieżce wśród sosen. Wieziórki jak błyskawice tańczą w gałęziach.

**ZONA:** Jakże mocno pachną przed werandą te lilie, kwiaty, które szczególnie lubisz, Ludwiku.

**L. H. MORSTIN:** Lubię bardzo i z racji tytułu i treści pierwszego z trzech dramatów napisanych w Krakowie.

**ZONA:** Były to lata: 1912, 1913 i 1916. A dramaty: — „Lilie”, „Szlakiem legionów” (Dąbrowskiego) i „Legenda o królu”. Tematyka b. polska.

**L. H. MORSTIN:** A właśnie pierwszy z nich — „Lilie” — to przetworzony w mój własny sposób motyw Mickiewiczowskiej ballady.

**ZONA:** Wystawił ją Ludwik Solski w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie z muzyką B. Raczynskiego, w przepięknych dekoracjach. I lilie tam na scenie gęste — jak te, dziś przed werandą.

**PROFESOR:** W „Liliach” tłem historycznym są czasy Bolesława Śmiałego — a problem — to zmaganie dwóch potęg: świeckiej i duchownej. Sztukę tę grano długo i miała bardzo dobrą „prasę”. A teraz, pozwól Pan,

że przypomnę parę szczegółów jego działalności twórczej: o 17 lat młodszy od Wyspiańskiego, którego znał Pan osobiście, potrafił Pan w swoim czasie, gdy St. Tarnowski, dzierżąc berło krytyki literatury, ciskał gromy na twórcę „Wesela” — przeciwstawić się „gromowładcy”, głosząc w licznych odczytach wysokie wartości dzieł tego poety. Może też z tego powodu niektórzy krytycy współcześni przypisują niesłusznie Morstinowi zbyt szeroką uległość wpływom Wyspiańskiego. Niesłusznie, bo Morstin szybko „znalazł” siebie, swój własny wyraz. Doskonale wykształcony w filologii klasycznej, greki, łacina, studia w Monachium, Dreźnie i Paryżu, oprócz wspomnianych dramatów — napisał w 1933 r. świetną „Rzeczpospolitą poetów”. Dostał za ten utwór nagrodę ZLP.

**ZONA:** A za „Noc majową” — nagrodę Krakowa w 1939 r.

**PROFESOR:** W „Rzeczpospolitej poetów” przedstawił Morstin współczesnych sobie poetów, zgromadzonych na „sejmiku” w jego domu. Byli to — Tuwim, Staff, Słonimski, Iwaszkiewicz, Pawlikowska, Morstin, Górka, Zegadłowicz, Witlin, Cazin... Autor wykazał w tej sztuce, jak szlachetny zamysł poety (Turlewa) o stworzeniu „nowej, idealnej świata formy” — nie wytrzymuje próby zderzenia z realizmem. Jest to odwieczny konflikt marzeń ludzkości o zorganizowaniu współzycia społecznego — z niemożliwością urzeczywistnienia w sposób pomyślany przez poetę. Konflikt ten do dziś jest problemem aktualnym. Sztukę wystawiono w Krakowie w 1934 r. z dekoracjami Frycza. Mówiło się o niej i pisało wówczas wiele.

**JA:** Ale oprócz dramatów jest przecież i działalność prozatorska.

**PROFESOR:** Przede wszystkim powieść o Koperniku pt. „Kłos panny”, napisana po 1930 r. Trzy wydania w 20-leciu, jedno po II wojnie. Wszystkie wyczerpane. Tłumaczony na francuski przez Paul Cazina. Zaintereso-

„ze wzgórz promieniejące i zielone za dną w zmierzchu piękno kaźmierza wzbiera w wonny nadmiar”  
(Czechowicz)

KIEDY wysiadłem w Kazimierzu z autobusu, słońce prażyło niemiłosiernie. Rynek, wypełniony kolorowymi grupkami wycieczkowiczów, wyglądał dokładnie tak, jak na znanym obrazie Zenona Kononowicza („Jarmark w Kazimierzu” 1934), którego przyjechałem odwiedzić w jego malarskiej pustelni.

Pracownia malarza, a właściwie mieszkaniec, w którym maluje, znajduje się opodal Rynku, w bezpośrednim sąsiedztwie kamienicy celejowskiej, w domu nie tak okazałym, lecz równie starym, z piękną renesansową attyką.

Po drewnianych, skrzypiących schodach drapię się na piętro.

Wizytówkę na drzwiach Kononowicza zastępuje rysunek konia wykonany kolorowymi kredkami. Przystąpiwszy próg wchodzę od razu w inny świat, połączony z atmosferą staroświeckiej, tak rzadko już dziś spotykanej pracowni. Jest to duża wysoka izba stylowo sklepiona, z dwoma oknami, przez które widok na wzgórze pokryte lasem. Obok druga, podobna. Pan Zenon w szortach i bajecznie kolorowej koszulce przeprosza mnie za „artystyczny nieład” jego gospodarstwa, nieład, który zresztą świetnie pasuje do tego mieszkania na pięterku, dodaje mu swobodnego wdzięku.

W oknach słońce pełne różnokolorowych farb i olei, przez które przechodzą promienie słoneczne padające na obrazy, których tu wszędzie pełno. Swolsty, niepowtarzalny widok, coś z pracowni alchemika, coś z muzeum.

Susząca się na oknie kiełbasa i czajnik, w którym kipi woda na kawę, przypominają, że to uroczę wnętrza jest jednocześnie mieszkaniem właściciela. Mieszkańcem, lecz chyba tylko letnikiem? — pytam p. Zenon, nadaremnie szukając pieca. „O nie — odpowiada mój rozmówca z uśmiechem — mieszkam tu i w zimie, co prawda trochę trudno wytrzymać, lecz za to jaka wygoda, blisko tereny dla pejzażu”. Kononowicz opowiada mi dzieje swoich kłopotów z budową pracowni w Lublinie — miejmy nadzieję, że przedko się skończą.

Zaczynamy pić kawę. Sterta brunatnego proszku zalana wrzątkiem z alchemicznych retort zmienia się w wonny napój — wspólne umiłowanie ludzi pędziła i pióra. Nieoczekiwany gość — znany artysta malarz, i fotografik, mieszkaniec Kazimierza, pan Stanisław Zieliński — który właśnie wpadł do pana Zenona po olej do farb, wnosi do pracowni ponowny powiew dawnej cyganki malarskiej. W pierwszej chwili z trudnością wstrzymuję się od przetarcia oczu: toż to Franc Fiszer redivivus! — okazala postać, potężna broda, tubalny głos, a do tego coś za gawędziar! Niezmiernie żałuję, że brak magnetofonu



Znany grafik Wiktor Ziolkowski i Zenon Kononowicz

nie pozwolili mi zanotować w całości rozmowy dwu starszych, lecz jakże wbrew pozorom młodych panów.

Potoczyły się wspomnienia, anegdoty (nie zawsze te najskromniejsze), celne uwagi o malarstwie dawnym i nowym. Kolejne filiżanki kawy zagryzane czereśniami były jedyną miarą upływającego czasu. Słuchaliśmy opowieści pana Zenona o jego malarskiej młodości, opowieści barwnej i pogodnej, mimo że nie była to młodość łatwa.

Zenon Kononowicz, rodak Mickiewicza urodził się pod Nowogrodkiem w roku 1903. Szkołę średnią skończył w Riazaniu. Studia malarskie rozpoczął w Krakowie w latach 1923—1929. Przyjął — na podstawie prób pejzażowych — na drugi rok studiów, borykał się przez parę lat z biedą. M. in. był pomocnikiem tragarza, był bezdomny, nocował w schronisku braci albertynów. Posadę woźnego w Akademii, którą udało mu się uzyskać po roku, przyjął jak uśmiech losu. W dzień malował, w nocy te same sale zamiatał. Niestety skutki niedzy nie dały na siebie długo czekać, bo kiedy — jeszcze jako student — otrzymał Konowicz asystenturę u Kowarskiego, musiał na rok przerwać studia i ratować zagrożone płuca. Studia malarskie ukończył Zenon Kononowicz w Warszawie w latach 1931—1932. W roku 1929 zaczął brać udział w wystawach malarskich jako członek grupy „Zwornik”. W roku 1932 pobyt za granicą: Włochy i Francja. Paryż — jak mówi pan Zenon — był wtedy rodzajem legitymacji dla malarza, plastyk bez pobytu w Paryżu po prostu się nie

liczył. W latach 1936—1939 uzyskał Kononowicz trzykrotnie pierwsze nagrody na wystawach malarskich w Warszawie i Lublinie.

Rok 1937 to pierwszy wielki sukces malarza; udział w wystawach sztuki polskiej w Nowym Jorku i Kapstadtzie.

Od roku 1936 Zenon Kononowicz mieszka w Lublinie. Przed wojną wykładał w Wolnej Szkole Malarstwa i Rysunku im. J. Mehoffera. W r. 1939 podpisał umowę z A. S. P. w Warszawie, miał objąć asystenturę, potem kadredę...; niestety, tylko podpisał.

Wyszedłszy cało z wojennych perypetii (to temat do osobnego wywiadu) poświęcił się Zenon Kononowicz całkowicie malarstwu, głównie sztalugowemu, w którym celuje jako świetny kolorysta, oraz rysunkowi o kresce delikatnej i jakby nieśmiałej, to znowu mocnej i wyrazistej.

Twórczość malarska nie przeszkadzała mu zresztą w pracy społecznej. Jeszcze w latach 1944—1945 prowadził w Lublinie ożywioną działalność przy reaktywowaniu ZPAP (w Zarządzie Lubelskiego Oddziału pracował Z. Kononowicz długie lata na różnych stanowiskach), organizował wystawy (pierwszą jeszcze w październiku 1944 r., drugą z początkiem roku 1945 — uzyskał na niej Kononowicz pierwszą nagrodę), podejmował działalność pedagogiczną. W r. 1945 był delegatem PKWN od spraw plastyki na Pomorzu.

(Dokończenie na str. 10)



# Ziemia świeżych

wybudowanego dla siarki Osiedla, od kilku nawet lat — obywatele Tarnobrzega, to po staremu „przyjeźni”.

A więc Wrębski jest „przyjeźni” bo mieszka na osiedlu, w hotelu. Krakowianin, syn drukarza i wnuk drukarza, pierwszy w rodzinie zdradził tradycję, zapisując się do Technikum Górniczego na Śląsku. Kontroluje reporterski notes, czy aby zapisano w nim, że on, Wrębski, reprezentował pierwszych absolwentów sekcji przeróbki mechanicznej rudy siarkowej, sekcji utworzonej dla kombinatu. To nie są detale, upomina mnie ze złością, to są ważne sprawy, wcześniej nie kształcono w Polsce specjalistów od siarki, bo i po co, skoro siarki nie było. „Najpierw przywieźli nas tutaj, żeby się rozejrzeć, zanim podejmiemy decyzję, jeszcze mało mieliśmy do oglądania, ale ja zakładam, że wszystkie świeże sprawy dają zawsze większą szansę człowiekowi i uznam... jakby to nazwać... no, po prostu wzięła mnie okazja tarnobrzaska”.

Staż w Zakładzie zaczynał przed niespełna rokiem, w marcu zdał egzamin weryfikacyjny i od kwietnia prowadzi 45-osobową zmianę na oddziale rafinacji. W szeregi partii przekazał go ZMS. Po legitymację nr 1001 przeszedł bezpośrednio z nowej pracy, zmiana przekroczyła tej nocy swój planowany uzysk o 13,5 tony siarki.

Kobylarz jest „miejscowy”, mieszka na wsi. Pochodzi z Jadachów, ożenił się w sąsiednich Cyganach. Porą śniegów albo roztopów, albo deszczów, idzie do Chmielowa (2,5 km) i stamtąd jedzie autobusem (12 km). Latem ma łatwiejsze życie, odległość, ścinana SHL po ścieżkach, kurczy się do sześciu kilometrów.

Pierwsze tony polskiej siarki wyszły z „Przeróbki” w grudniu 1960 roku, na pierwszą tarnobrzeską Barburkę. Wrębski zna ten dzień ze słyszenia. Kobylarz — pamięta.

Kiedy Tarnobrzaska Fabryka Obrabiarek chcą nie chcą przekazywała go siarce, był już kwalifikowanym robotnikiem, frezerem po szkole zawodowej, i posiadał Odznakę Przdownika Pracy.

— Po niecałym roku u nas dostał decydującą większość głosów w wyborach do egzekutywy oddziałowej. To czwarta jego kadencja, jako sekretarza, i stale jest wybierany prawie jednogłośnie — usłyszałam podczas sprawdzania, na ile opinia instancji o tym człowieku pokrywa się z sympatiami załogi.

W Tarnobrzegu, a także w szerokim promieniu Tarnobrzega, sprawy dziel się na takie, które były przed siarką, oraz na te, które zaczęły się od siarki.

Drugich jest oczywiście więcej. W miasteczku przed siarką — czterotysięcznym, żyje dzisiaj przeszło dziesięć tysięcy ludzi, a trzy tysiące rolników z Ziemi Rzeszowskiej i Kieleckiej zarabia w kombinacie.

Sam tylko Zakład Produkcji Siarki, nazywany przez załogę „Przeróbką”, zatrudnia kilkuset mieszkańców dwudziestu dwu wsi. Przeciętą odległość z domu do pracy? Dziesięć, piętnaście kilometrów, ale są i większe: po osiemnastu (od Sandomierza), po dwadzieścia cztery (od Dęby), po trzydzieści dwa (od Mielca), po trzydzieści osiem (od Stalowej Woli). Jeździ się autobusami, a nie wszyscy mają domy w pobliżu przystanku, więc i bez przemożni żmudne są chłopskie do siarki drogi.

Zakład Produkcji Siarki zatrudnia około 50% załogi z niższymi kwalifikacjami, około 40% — ze średnimi. Do obsługi taśmociągów, podajników rudy, do załadunków i wyładunków przyjmuje się ludzi zupełnie surowych, praca flotatorów, młynowych, obsługa wytapiaczy, wirówek czy filtrów wymaga już pewnych kwalifikacji. Zakład, który w 62 roku produkował niespełna 180 tys. ton czystej siarki, w 65 roku — wyprodukuje 400 tysięcy, natomiast zatrudnienie pracowników fizycznych (w 62 — 545 ludzi) wyniesie w roku przyszłym zaledwie 723. Ta uderzająca dysproporcja między siarką i etatami nie zaniknie również w roku 1970, kiedy to fłotę robotników na „Przeróbcę” zwiększy się przypuszczalnie o 30%. Rzecz w tym jednak, że będzie to już inna załoga: do tego czasu musi się wykształcić co najmniej dwukrotnie licniejsza od obecnej kadra robotników-fachowców z wysokimi kwalifikacjami, zaś od przewagi pozostałych — wymagać kwalifikacji średnich.

Połowa dnia w przemyśle, który stawia coraz ostrzejsze wymagania, druga połowa — w chłopskiej rodzinie, w kregu spraw starych i stabilnych. Kobylarz sam zresztą mieszka na wsi,

zelektryfikowanej dopiero przed pięć laty, dawniej wracał ze swoją odznaką Przdownika Pracy do ciemnej chałupy. To jest właśnie podział decydujący dla tutejszej specyfiki, to jest mianownik ciężkich codziennych kłopotów całej siarki i jednego zakładu.

Ludzie bronią się przed nauką, są zmęczeni. Łatwiej namówić ich na kurs kwalifikacyjny, niż na siódmą klasę, kurs daje korzyści uchwytne, siódma klasa daje tylko papierek. ZMS z „Przeróbki”, dobry pomocnik oddziałowej organizacji partyjnej, przeformował kilka inicjatyw szkoleniowych, przeszło dwudziestu pracowników zapisało się do technikum wieczorowego z dwoma wydziałami — mechanicznym i elektrycznym, ale to wszystko sprawy jeszcze nie przesądza. Na szkoleniach partyjnych frekwencja od 70 do 80%, pełna — nie bywa nigdy, mniejsza, dużo nawet mniejsza — już bywała, trzeba dużo czasu, żeby mieszkańcy dalekich wsijskich domów pogodzili się, jako robotnicy i jako towarzysze, z elementarnym pojęciem obowiązkowych, z sumiennością, odpowiedzialnością, dyscypliną.

Kobylarz jest wirówkowym, wirówkowi pracują na rafinacji. Właśnie tutaj jest najcięższe. Przybysza przerazi ohydny fetor, opary wytapianego koncentratu, miejscowego gnębi inna sprawa. W roku 62 na rafinacji było 35 wypadków przy pracy. Zatem tyle, ile na całej „Przeróbcę” w roku 63.

„Kura w domu nie kopie”. Owszem, to mogłoby być wytłumaczenie, i czasem jest. Nie zawsze. Na przykład — nie pasuje już do fachowca z dziesięcioletnią praktyką, który przez własne niedbalstwo uległ poparzeniu łukiem elektrycznym. Identyczna historia zdarzyła się zresztą już w następnym dniu. Niedbalstwo, nieostrożność: można również powiedzieć — brak wyobraźni. Dziesięć lat, dosyć czasu na wyborne opanowanie zawodu, jeszcze mało niekiedy na instynkt samozachowawczy. Tyle, że ci ludzie żyją i chyba już przyjęli do wiadomości, że w pewnych sytuacjach trzeba się bać, że nie trzeba się spieszyć. Natomiast inny człowiek zginął. Nie zostanie rozstrzygnięte, czy przyszedł na zmianę nietrzeźwy, medycyna sądowa nie ma wiele do powiedzenia, jeśli zgon następuje w temperaturze 80° Celsjusza, w roztopionym koncentracie siarki. Człowiek zginął w piątą minutę po rozpoczęciu pracy, ponieważ przeszedł pod taśmociągami, który biegł nad wytapiaczem, a narzewnica była wyjęta. Najniższy punkt taśmociągu, tłumaczy kierownik Zakładu inż. Czesław Siwiec, nie przekracza wysokości osiemdziesięciu centymetrów. Trzeba pewnej fetygi, żeby pod nim przejść, jednak człowiek uparł się i pokonał przeszkodę. W chwilę później już nie żył. Czy Zakład ponosi dużą część odpowiedzialności za wypadek? Z pewnością tak. Otwór nie był łatwo dostępny, jednak — nie był zabezpieczony. Czy istnieją w zakresie bhp środki mechaniczne, z którymi — przy odpowiedniej dozie ryzykanctwa — ktoś sobie nie poradzi? Z pewnością nie. Inżynier Czesław Siwiec powiedział mi jeszcze, że wolałby, aby jego ludzie mieli większy respekt przed koncentratem siarki lub prądem elektrycznym, mniejszy — przed schodami. Nowo przyjęci pracownicy bardzo często boją się chodzić po schodach: odstrasza ich widok stopni zrobionych z siatki Wema. Jeśli w ogóle mieli kiedyś do czynienia ze schodami (może w powiatowym urzędzie?) — to tamte jednak wyglądały inaczej, nie były „ażurowe”.

Kiedy człowiek z Ocie, albo z Wielowsi, z Trzeźni, albo z Sobowa, dochodzi do orientacji, że to, co ma, nie musi mu wystarczać, bierze robotę przy siarce. Chłopów zwabia przede wszystkim ubezpieczenie, potem — węgiel, potem dopiero — gotówka. Człowiek robi przy siarce, ale myśli o ziemi, i ucieka z kombinatu do orki, do żniw, do wykopków.

W 1963 roku nie obszło się bez chirurgicznego cięcia. Zakład za jednym zamachem pozbył się czterdziestu sześciu bumelanów. Tracąc ubezpieczenie, węgiel i gotówkę, powoływali się na cudze posiadania: „zostawiacie pięćdecioktawowych, ja mam dwa, a każda odejść. Gdzie sprawiedliwość?...” Uśmiechnęłam się, ale dla mojego informatora to nie było śmieszne, ludzie ze wsi, bez względu na miejsce, do którego dojdą w życiu, nigdy nie śmieją się z takich rajci.

Pokazówka zrobiła jednak swoje, z dyscypliną jest lepiej. W marcu — tylko sześć bumelek, ostrożeńszych, po jednym dniu. A już od następnego winowajca zaczynał krążyć od kierownika Zakładu do sekretarza oddziałowej organizacji partyjnej, od sztygara do przewodniczącego rady oddziałowej, zbierając dziesięć podpisów na jednym podaniu, byle nie w godzinach pracy, byle długo i z komplikacjami. W końcu musiał sobie wyliczyć, że więcej czasu stracił na bumelce, niż zarobił. Świadomość takiej straty jest na pewno karą dotkliwą w okresie, kiedy ziemia gwałtownie domaga się gospodarskich rak. Bumelana przeknie wszystkich, którzy ją wymyślił, ale na przyszłość będzie się pilnował. Oto prościutki, a zmyślny proceder, podług politycznego słownika zwany pracą polityczną. Ma Kobylarz sposoby na swoich, nie darmo urodził się w Jadachach, a w Cyganach mieszka.

Jeśli ludziom jest ciężko, psioć, później lubią jednak odwołać się do czasów, które potwierdzały ich siłę. W czteroletniej historii „Przeróbki” już uzbierało się trochę dowodów na możliwości człowieka. Zakład został zaprojektowany wyłącznie w oparciu o badania, dotyczące rudy z otworów kopalni Machów, tymczasem eksploatacją objęto kopalnię Piaseczno, której ruda nie była jeszcze przebadana. Sęk w tym, że pomiędzy obydwojma rudami zachodzą poważne różnice. Przy rudzie machowskiej proces flotacji trwałby tylko cztery minuty, przy piaseczńskiej — wymaga osiemnastu. Przedłużenie tzw. frontu flotacji nie było sprawą bagatelną. „Kryzysowy, najtrudniejszy egzamin, uwieńczony pełnym zwycięstwem” — powiedzą wam w Machowie, co na-

leży sobie po prostu przetłumaczyć na bardzo ciężką nie przestrzegającą godzin posiłku ani anu harówkę ludzi z tutejszej załogi.

Dlaczego brygada Śpiewaka kombinuje usprawnienia przy filtrach i pompach siarkowych, brygada Szwe-da — przy młynach? Za to im się nie płaci. A pomyśl Sędowicza? Nie było konieczności, przeciwnie, była gwarancja, że chłopaki palcem w bucie nie kiwną, jeśli sprawa rozminie się z ich gustem. Obsługa taśmociągów, zgłoszwszy awarię, mogła spokojnie czekać na dalszy bieg wypadków, dopóki Sędowicz nie zaproponował: sami zajmijmy się zyciem taśm, będzie szybciej i prościej.

Trzy brygady walczą o tytuł BPS, cztery — już go zdobyły, jedna — zamierza się z kolei na tytuł Brygady XX-lecia. Ludzie zaczynają jednak przylegać do przemysłu, mówi inż. Siwiec. W robotniczej czołówce Zakładu — sporo nazwisk towarzyszy: brygadziści Dziadecki i Koza, flotator Franczyk, młynowy Kozdemba, wirówkowi Rajtar i Sowa. Partyjni z „Przeróbki” organizują spotkania załogi z kierownictwem. Mówi się wtedy o sprawach roboczych, rozważa wszystkie „za” i „przeciw” codziennej sytuacji w Zakładzie. Na szkoleniach ludzie nie dyskutują, co najwyżej — pytają, bo polityka jeszcze do ich mocnych stron nie należy, na spotkaniach — potrafią się nawet wyklócać, cie, pośrodku twardych, ale coraz bartu są już u siebie, na pewnym gruncie czytelnych spraw siarki.

W roku ubiegłym przedstawiono im plan produkcyjny: 194 tys. ton do wykonania. Zdecydowali po miesiącu, że oddadzą 195 tys. ton, a oddali 203,5 tysiąca.

Jesienią 1960 do ich 23-osobowej organizacji partyjnej należało 12 robotników. Dzisiaj wśród 135 PZPR-owców w Zakładzie jest 102 robotników.

Na Śląsku, w Łodzi, w Nowej Hucie to mogłoby znaczyć: siła. Tutaj jeszcze znaczy: początek.

Anna Strońska

**P**IERWOTNIE nazywał się „Bid-dle”. Ale w lipcu br. ten amerykański niszczyciel został przemianowany na „Claude V. Ricketts” dla uczczenia pamięci zmarłego amerykańskiego wiceadmirała, gorącego zwolennika i orędownika wielostronnych sił nuklearnych NATO. Przemianowany niszczyciel udał się w rejs i zawiązując do poszczególnych portów państw NATO kompletował swą wielojęzyczną załogę. W wyniku tego werbunku załoga osiągnęła liczbę 366, z czego, obok 174 Amerykanów, resztę stanowili Włosi, Turcy, Grecy, Holendrzy i Anglicy. No, i oczywiście — Niemcy z NRF w liczbie 49 oficerów, podoficerów i szeregowców. Rejs niszczyciela z mieszaną załogą na pokładzie pomyślany był jako ćwiczenie praktyczne w związku z zamiarem uruchomienia wielostronnych sił nuklearnych NATO. Chodziło więc o sprawdzenie, jak ta wielojęzyczna załoga upora się z obsługą tak skomplikowanej pod względem technicznym jednostki morskiej, jaką jest niszczyciel. Jednocześnie uruchomiono również propagandowe. Z relacji korespondentów agencyjnych i prasowych można się było dowiedzieć, że trudnościami przy manipulowaniu urządzeniami niszczyciela i jego uzbrojeniem były nieznaczne, że udało się z powodzeniem rozwiązać również sprawy kulinarne szanując różnorodność przyzwyczajęń i smaków, tyle tylko, że europejscy członkowie załogi trochę cierpieli z powodu suszy alkoholowej, jako że na amerykańskich okrętach wojennych picie alkoholu jest zabronione (nie byłam, więc muszę wierzyć na słowo). Krócej mówiąc, chodziło w tej całej imprezie o to, aby na przykładzie tego rejsu i przy pomocy rozkręconej wokół niego propagandy wykazać urbi et orbi, że wielostronne siły nuklearne NATO to rzecz realna i łatwa do urzeczywistnienia. I oczywiście, że wszelkie miar potrzebna i korzystna.

Celem mojego felietonu jest wykazanie czegoś wręcz przeciwnego. A to wymaga przypomnienia, przynajmniej pokrótce, co to są te wielostronne siły nuklearne NATO, występujące w naszej prasie raz jako MLF (od angielskiej nazwy Multilateral Force), kiedy indziej znów — i ostatnio coraz częściej — w formie skrótów nazwy polskiej jako WSN. Trzeba przypomnieć tym bardziej, że widmo WSN krąży już dość dawno, że więc w krytyce skierowanej przeciwko temu projektowi — po pierwotnym przeanalizowaniu go i po „obróbce” publi-

## ŹRÓDŁA NAPIĘC

**STEFAN CHANIEC-CHANACHOWICZ Zapalić czerwone światło!**

cytycznej — posługujemy się już dzisiaj raczej pewnymi skrótami myślowymi, co w konsekwencji doprowadzić może do tego, że miejsce krytyki uargumentowanej zajmie krytyka machinalna, odruchowa. A wtedy (celowo przejawiam!) nie wykluczony byłby i taki dialog: — Co myślisz o WSN? — Myślę, że to pomysł niebezpieczny, bo to... WSN.

Projekt utworzenia wielostronnych sił nuklearnych NATO został po raz pierwszy zaprezentowany europejskim członkom paktu północno-atlantyckiego w 1960 roku przez ówczesnego sekretarza stanu USA, Christiana Hetera. Projekt zakładał, że Stany Zjednoczone dostarczą do roku 1963 organizacji paktu atlantyckiego 5 łodzi podwodnych wyposażonych łącznie w 80 rakiet „Polaris” z tym uszakiem, że pozostali członkowie NATO zakupią u Amerykanów następne 100 „Polarisów” i zainstalują je na własnych okrętach wojennych. Pierwszy więc raz rząd USA zaproponował europejskim „atlantydym” utworzenie sił nuklearnych, wielostronnych pod względem finansowym i własnościowym i obsługiwanych przez mieszaną załogę.

Nie będę tu przypominał dalszej czteroletniej historii rozwoju tego projektu i wszystkich przemian, jakim projekt ten podlegał, a zatrzymam się raczej na etapie obecnym i aktualnym kształcie tego projektu. A więc ostatnia (nie wierzę, że ostateczna) wersja wielostronnych sił nuklearnych NATO przewiduje utworzenie floty składającej się z 25 statków nadwodnych, wyposażonych — każdy z oddzielną — co najmniej (i tak się oficjalnie podaje) w 8 „Polarisów”. Wszystkie statki tej floty, jak powladają autorzy, mają nieprzerwanie krążyć po morskich szlakach handlowych, zwłaszcza na Atlantyku i Morzu Śródziemnym, i strzec bezpieczeństwa europejskich

(Dokończenie na str. 9)



# Zagubieni patrioci\*

ADOLF LEKKI

inni z głodu. Tak dłużej nie może trwać, Boże, ocal nam syna i męża.

— Wojna wojna, a robota nie czeka — przecięła dyskusję teściowa. Dla niej wykopki ziemniaków i terminowy siew zboża były stokród ważniejsze niż jakiś tam Hitler, Gdańsk czy „korytarz”. Te sprawy pozostawiała na niedzielę teściowi.

Uplęło kilka dni, spędzałam je przeważnie w polu. Pogoda była nad podziw piękna, urodzaj „jak na żalosc”, a znikąd pomocy. Wszyscy młodzi mężczyźni poszli w świat szukać swego losu. Kochałam ziemię i lubiałam pracę w polu. Ziemia — wszystko się może obrócić w gruzy, ale ziemia pozostanie. Niekiedy pracowałam z teściem, częściej sama i wtedy miałam najlepszą okazję do rozmyślań. Roztrząsałam drobniaczko swoje dotychczasowe życie, układałam plany na przyszłość. Z dnia na dzień bardziej żał mi było Franka. W moim otoczeniu pozostała teraz tylko jedna droga mi istotka, moja pięcioletnia córeczka Basia. Lecz to dziecko niewiele jeszcze rozumiało. Na teścia i teściową nie mogłam liczyć. Nie kochali mnie nigdy, bardziej ich interesowało moje wiano niż osoba. Przyszło do tego, że lek przed samotnością nie opuszczał mnie ani w dzień, ani w nocy.

Jednego wieczoru wróciłam z pola bardzo późno, zmęczona jak nieboskie stworzenie. Usiadłam przed domem, patrzyłam na czerwoną zorzę zachodzącego słońca i miałam ochotę płakać z rozpaczy. Gdzieś na froncie tułał się mój mąż, a my w tym domu jak dwie sieroty, jak dwie wyrobnice. Wtedy zwróciłam na niego uwagę. Szedł skrajem drogi, ubrany był w wyblakły, wielokrotnie polatany mundur wojskowy. Nie miał żadnej broni. Stapał jak znużony koń ze spuszczoną głową, potykał się na wybojach, zdawało się, że wlecze sobie tylko znajomy ciężar. Musiał dostrzec litość na mojej twarzy, bo zawisł na ogrodzeniu.

— Wody — poprosił — Proszę o trochę wody.

— Niech pan wejdzie na podwórko.

Pobiegłam do mieszkania po szklankę. Na chwilę zatrzymała mnie teściowa, chwilę zbalamucila wycierając szklę czystą szmatką. Gdy wróciłam na podwórko, on stał przy studni pochylony nad wiadrzem. Pił długo, zrazu chciwie, haustami, potem wolniej z rozmysłem smakował orzeźwiający płyn. Stałam obok niego ze szklanką w dłoni. Zwróciłam uwagę na jego ostry nos, niemal kwadratową brodę, na szarość twarzy. Osądziłam, że był w moim wieku, bądź nieco starszy. Umył ręce furazerką. Uśmiechnął się na widok czystej szklanki.

— Głodny nie szuka noża, a biedak bryczki.

— Mówiłam, że tak będzie lepiej.

— Jaka to miejscowość? — zapytał mnie, machając ręką na moje poprzednie słowa.

— Krzyków.

— Do Zamościa jeszcze daleko?

— Będzie ze dwadzieścia kilometrów.

Westchnął, włożył furazerkę na głowę, usiadł na obmurowaniu studni. Palila mnie ciekawość skąd się wziął ten człowiek w mundurze, jak trafił do naszej wsi. Może się wojna skończyła i mężczyźni wracają do swoich domów?

— Wraca pan z wojny?

— Nie. Zabawiam się w wyścig. Ja gonię nasze wojsko, mnie Niemcy.

— Więc dlaczego pan u nas, w Krzykowie?

— Pochodzę z Annapola. Przedwczoraj dostałem kartę mobilizacyjną. Przyjechałem do Kraśnika, tam ubrali mnie w mundur i skierowali mnie do pułku, który odszedł w stronę Zamościa. Gonię ten pułk i dogonić nie mogę. Cholerny świat.

— Nie lepiej wędrować głównym traktem? Łatwiej tam można spotkać jakiś samochód, albo furmanke.

— Zboczyłem, na głównym trakcie trudno się przebić przez tłumy uciekinierów. Tędy swobodniej i droga bliższa.

— Uciekinierów???

— Czy pani z księżycą spadła? Nie ma się czemu dziwić. Niemcy już nad Wisłą, szturmują Warszawę, naród ucieka przed nimi, bo podobno kobietom obcinają piersi, a mężczyznom prawe ręce.

— To bzdura.

— Może bzdura — zgodził się — ale wszyscy ją powtarzają, a nie ma nic gorszego, niż bzdura nabierająca

WILLIAM SHAKESPEARE

## Sonet CVIII

What's in the brain...

Jak opisać to nowe co w mózgu się rodzi i jeszcze bezcielesne, jak Ty, wierny duchu? Jak w kształt słowa przyoblec to, co umysł spłodził, co z miłości powstało zbyt wiotkie i kruche?

Ani moje uczucie, ani twa zasługa — nic z tego, słodki chłopcze! Jak nudne paćerze muszę w swej samotności odmawiać je długo iem ja twój a Ty mój — głęboko w te dręgo

Gdy pierwszy raz zakląłem Cię w imię miłości, tej wieczystej i trwałej, nieprzerwanie świeżej, nawet pyłek ubocznej myśli nie zagościł — oczywistość wspomnienia stała się puklerzem.

Odkrycie urojenia miłości to polów co pożar czyni jak iskra z popiołów.

Z oryginału przełożył Wacław Gralewski

wszystkich cech prawdy. Czy wy tutaj o niczym nie wiecie?

Rozejrzał się wokół i, jakby dopiero teraz dostrzegł okolice, skinął głową ze zrozumieniem. Wśród rozległego lasu stało kilkadziesiąt drewnianych chałup pokrytych słomą. Piaszczysta droga wybiegała z lasu, wila się między domami i ginęła znów w lesie rozszczerpiona na dziesiątek ścieżek, jak grube polano na drzazgi.

— Ładna dziura, nie ma co mówić. Nieprędko znajdzie was tu wojna. Radia nikt we wsi nie ma?

— Nie. Ostatnio nawet gazet nie przynoszą.

— Mogłem się tego domyśleć. Jeśli nie opuści was szczęście, możecie spokojnie przeżyć ten paskudny okres; bo dzisiejsza wojna to panusia, kocha tylko asfaltowe drogi, znosi jeszcze bruk, ale się nie da skusić na piaski.

Wstał, spojrzął na mrok gęstniejący w lesie. Widziałam, że bardzo był zmęczony.

— Nie zajdzie pan już dzisiaj daleko.

— Prawdę mówiąc nawet sił nie mam. Przenocuję u pani?

— Dom nie należy do mnie.

— A kto jest gospodarzem?

— Teść.

— Mąż w domu?

— Też na wojnie.

— Rozumiem. No cóż, pójdę. Znajdę nocleg w innej chałupie, albo prześpię pod drzewem. Noce na szczęście są bardzo ciepłe. Do widzenia.

Czasami jeden krok decyduje o całym ludzkim życiu. Taki krok jak wtedy zrobiłam. Powiedziałam:

— Niech pan zaczeka, zapytam teściów. Na pewno nie odmówią żołnierzowi noclegu.

Kolację jedliśmy jak zwykle w kuchni. Powiedział, że nazywa się Andrzej Rodak, pochodzi z Annapola, jest samotny i nikt po nim nie będzie płakał, jeśli nawet zginie. Umiął rozmawiać. Z teściem wdał się w politykę, teściowej udzielał rad, jak karmić bydło, opowiadał co słycał na szerokim świecie. W pewnej chwili zwrócił się do mnie:

— Głupi ten pan mąż. Mógł siedzieć na miejscu u pana Boga za piecem. Nikt by go nie znalazł na tym odludziu.

— Czemu pan nie jest mądrzejszy?

— Ja? — zastanawiał się nad odpowiedzią, przymknął oczy.

— Ze mnie też głupiec i inni też głupcy — uderzył w stół pięścią. Nikt mu nie zwrócił uwagi. Czekaliśmy jego dalszych słów, choć to, co powiedział, już pachniało buntem.

— Macocha tak nie skrzywdzi pa-sierba, jak ta Matka-Ojczyzna nas krzywdzi, a mimo to goni człowieka wojsko, aby jej bronić. Spotykałem na drogach chłopów i robotników, harcerzy w mundurach i starców. Zazdrościli mi tego munduru, pytali, gdzie mogą dostać broń. Głupcy, głupcy, lecz jeśli to nie jest największy patriotyzm, to nie ma patriotyzmu na świecie.

W niewesołym nastroju upłynęła kolacja. Potem położyliśmy się spać, ale nie na długo. Choć Rodak był mądry człowiek, pomylił się nazywając wojnę „panusią”, co nie lubi piasków. Przyszła do nas tej samej nocy mimo lasów i piaszczystych dróg. Około północy zbudziło nas wojsko. Żołnierze dobijali się do każdego drzwi, prosili o chleb, mleko, wodę. Zryli ogrody zyzakowatymi rowami, a nad ranem odeszli na wschód. Rodak chciał z nimi iść i niewiele brakowało, a straciłby życie. Słyszałam jego rozmowę z ja-

kimś oficerem. Powiedział kim jest, poprosił o włączenie do oddziału.

— Nic nam po obcych. Dla swojego wojska nie mam amunicji.

— Pójdę z wami. Swój pułk szybko dogonię.

— Co pana tak przypiliło? — oficer przywołał dwóch żołnierzy, rozkazał im zrewidować Rodaka. Nic przy nim nie znaleźli. — Może to szpieg? — zapytał oficera.

— Właśnie się zastanawiam. Coś mu się bardzo śpieszy być z nami.

— Rozwalić dziada na wszelki wypadek — doradzał.

Puścili go dopiero wtedy, gdy powiedziałam, że to nasz znajomy. Rodak nawet się na nich nie gniewał.

— Czemu się dziwić — powiedział — Zdrada spłynęła z góry i zalała cały kraj. Ludzie muszą być teraz podejrzliwi.

Po wojsku nadciągnął do wsi tłum uciekinierów. Krzyki, płacz dzieci, przekleństwa i bagania o żywność nie pozwalały myśleć o wypoczynku. Rodak kręcił się wśród tych ludzi, zbierał wieści. Wrócił zafasowany.

— Podobno Niemcy zajęli już Lublin. Chyba nie dogonię mego wojska — powiedział cicho. Nie patrzył nam w oczy. Może się wstydził, że już wypadł z tłumy „patriotów”, o którym mówił tak pięknie jeszcze wczorajem.

— Co będzie? — pytał go teść — Może i nasz syn wróci za kilka dni?

— Może wróci, jeśli nie poległ, albo nie dostał się do niewoli.

— Boże, ratuj — zawołała teściowa. — Wraca pan do swoich? — zapytał znów teść.

— Nie mogę, teraz w żadnym wypadku nie mogę.

Teść myślał długo, wreszcie nieoczekiwanie zaproponował: — Więc niech pan zostanie u nas przez pewien czas.

— Przyjmiecie mnie? Nie będę chleba darmo jadł. Pomogę w wykopkach, w siewie, znam się na tej robocie, choć jestem ślusarzem.

— Prowadził pan warsztat?

— Nie. Pracowałem w Starachowicach. A ostatnio... byłem przez pewien czas bezrobotny.

Rodak pozostał w naszym domu. Podwórka chłopie pulsowały jak w gorące, twarze uciekinierów były znużone i obojętne, znał lasu splotywał na ziemię zapoźniony świt. Stałam w proggu i patrzyłam na zmienioną twarz nowego mieszkańca naszego domu. Był smutny, jak tylko wtedy ludzie bywali smutni. Miałam o czymś intensywnie, a ja mimo woli porównywałam go z Frankiem. Był lepiej zbudowany, niż mój mąż, a przede wszystkim był bardziej męski. Pomyślałam, że dobrze by było przytulić się do tej szerokiej piersi, byle nie być sama. Zrobiło mi się gorąco. Uciekłam do własnego pokoju.

\*) Fragment powieści pt. „Zmlerzch”.



ALEKSY KAZBERUK

## ogień na śniegu

nie nazwałem wrzącej gwiazdy lawą była zbyt płynna w pozornym zastyganiu krwi oceanu oko zbudowało wulkany wyspy łądy a więc i morza łączone tęczą z ucieczką chmur potopu nie było — spływał pot zmęczonego życiem lodowca

bóg — uproszczony schemat myślenia prawo słabych

— był kromem zbiegłym z krateru wieloosobowy krzykiem nocy zmniejszający się szybkością rydwanów lotem strzały w jedność i niżej na współrzędnej mózgu

melodie muszli wyłowil rybak nuty z galezi zdjął drwał spotkali się potęgującym duetem by dzielić twarze — miejsca na ziemi otwierane kluczami języków wracając stepem wyprężonym w słońcu południkami na twardych rzekach dostrzegli materię — śpiewało ciepło na tle mrozu



# W aurze Jubileuszu

(Dokończenie ze str. 3)

Nowy prąd zaznaczy się wyraźniej dopiero za dyktacji Lorenowicza. Rzecz naturalna — są to lata od końca r. 1955 do połowy 1958. Już by się nikt nie spierał o plorun w „Balladynie”, już wychodzą po trochu w warsztatach polskich dramaturgów ambitniejsze sztuki o treści współczesnej, takie jak „Klucz od przepaści” Gruszczyńskiego; już reżyser Andrzej Makarewicz i scenograf Wojciech Krakowski, z błogosławieństwa kierownika artystycznego Wandy Laskowskiej, odważają się udzielić nie do poznania Mussetowe „Kaprysy Marianny”; już przenikają do Polski i trafiają na scenę lubelską nowoczesne sztuki zachodnie w rodzaju „Dziewczyny za wiatr” Obeya, z której reżyser Goliński i scenograf Torofczyk robią spektakl do gruntu *moderne* (niestety strasznie nasenny), a dyrektor Lorenowicz komentuje go w ultraawangardowym programie zdjęciami z dzieł Sioueirosa, Martina d'Auvergne i cytatał z Norwida, Kanta, Gandhiego, Copeau... Kiedy indziej uroczą, lakoniczną interpretację arki Noego daje utalentowany scenograf Teresa Targońska. W ogóle ujawnia się zdecydowana ucieczka od teatru mieszczańskiego w stronę sceny poetyckiej.

Tak się działo w całej Polsce. Dożenia te spotęgowały się w następnych latach znajdując oparcie w racjonalnej tolerancji, która zaczęła przyświecać polityce kulturalnej. A wiec i na scenie lubelskiej dochodzi do głosu romantyzm polski (Jerzy Goliński opracowuje dramaturgicznie „Zawieszę Czarnego”) i obcy (Schillerow „Don Karlos” w pięknym przekładzie Ilakowiczówny); są wysokie loty, jak wystawienie „Sulkowskiego”, i ryzykowne próby — jak realizacja scenicznej przeróbki „Przedwiośnia” Żeromskiego. Współczesna dramaturgia polska przynosi coraz więcej wartościowych utworów, teatr lubelski skwapliwie wykorzystuje tę szansę: wystawia „Pierwszy dzień wolności” Kruczkowskiego, „Jonas i błazna” Broszkiewicz, „Wielkiego Bobby'ego” Gruszczyńskiego, „Inkarno” Brandysa, „Szachy” i „Partię na instrument dreb-

niany” Grochowiaka, „Karola” i „Czarowną noc” Mrożka, ostatnio na jubileusz — „Zejście do piekła” Iredyńskiego. Powstaje nawet z inicjatywy młodych aktorów mała scena — „Reduta 61”, na której gra się tytułem eksperymentu nowe sztuki kameralne polskich autorów (Mrożek, Herbert, Auderska, Chelmiński, Czarnecki, Zawiszanka).

Szerokim strumieniem płyną na lubelską scenę nowoczesne sztuki zachodnioeuropejskie i amerykańskie, jedynie względy dewizowe tamują niekiedy ich dopływ. Ukazuje się bez przeszkód „Romulus Wielki” i „Fizycy” Dürrenmatta (zapowiedziana jest również „Wizyta starszej pani”), „Zaklinacz deszczu” Nasha, „Księżyc święci nieszczęśliwym” O'Neill, „Archaniołowie nie grają w bilard” Dariusza Fo...

Oczywiście nie wymieniam pozycji przygodnych, „kasowych”, chodzi przede o wykres linii wstępnej. Krótko mówiąc, teatr lubelski zdecydowanie się modernizuje. Ten dodatni proces jest procesem ogólnopolskim, tak jak ogólnopolskim zjawiskiem jest niestety snobizm polegający na popisaniu się pozycjami nigdy nie granymi lub mało granymi, snobizm niebezpieczny skoro prowadzi do wystawiania rzeczy słabych (u nas *casus* „Piętej kolumny” Hemingwaya), albo do realizacji nieudanych przeróbek („Cezary Baryka” Warmińskiego). Osiągnięcia i omyłki repertuarowe Państwowego Teatru im. J. Osterwy w Lublinie są typowymi osiągnięciami i omyłkami dzisiejszej fazy polskiego życia teatralnego.

Wydaje mi się, że powyższy, niepełny spis sztuk granych na lubelskiej scenie w minionym dwudziestolecu pokazuje wyraźnie, jak planowanie repertuarowe naszego teatru szło w kierunku kreślonym przez ogólnopolską politykę kulturalną i jeżeli się poza nią nie wychylało, to przynajmniej nie zaniedbywało stworzonych przez nią możliwości. A „profil”? Sądzę, iż tego, co się mgliście zwie profilem, teatr nasz, mówiąc szczerze, nie ma, choćby się o „profilu” i „obliczu” nie wiem jak szumnie rozprawiało na tym czy

innym spotkaniu. Wątpię nawet, by musiał go mieć, ów profil, bo będąc teatrem terenowym ma obowiązek uwzględniania różnych potrzeb różnych ugrupowań socjalnych.

Tu dochodzimy do sprawy najbardziej odpowiedzialnej — do wykonywania przez teatr swej misji społecznej, bardzo szeroko pojętej. Otóż właśnie w dziedzinie szerzenia kultury teatralnej osiągnięto w porównaniu do stanu rzeczy w czasach Chmielarczyka pokazuje postępy, dochodząc od kilkudziesięciu przedstawień w miastach powiatowych za cały kilkuletni okres dyktacji — do kilkuset spektakli na sezon dawanych obecnie nawet w małych osadach i *pegeerach*. Tylko że w tej dziedzinie, w której zrobiono już sporo, jest jeszcze nadal ogromnie dużo do zrobienia, wiele trudności do pokonania. Na czoło zagadnień wysuwa się problem odpowiedniego repertuaru, nie ulega bowiem wątpliwości, że sztuki „objazdowe” nie powinny być kwalifikowane na zasadzie „mieszkania się” w skromnej przestrzeni scenicznej salki domu kultury, szkoły, kina prowincjonalnego. Postuluje potrzebę pieczołowitej selekcji sztuk wysyłanych w teren, nie mam oczywiście na myśli elementarnych uproszczeń czy wyrzucania się repertuarem młodzieżowym, lecz wybieranie spośród utworów wartościowych pod względem treści i formy — takich, które najbardziej odpowiadają słusznym potrzebom i możliwościom percepcyjnym danej społeczności. W ten sposób uniknie się nieporozumień w rodzaju wędrownki terenowej „Wygnańców” Joyce'a, rzeczy finezynnej a nie dającej nic cennego widzowi, gdy przyswaja jedynie jej powierzchowną warstwę. Jest to tak oczywiste, jak fakt, że pierwszym szczeblem do opanowania wyższej matematyki musi być przyswojenie arytmetyki.

Za bezsporną zasługą naszego teatru uważać należy rozszerzenie kontaktów ze społeczeństwem nie tylko poprzez widownię, ale i poprzez współpracę z zespołami amatorskimi. Pod tym względem teatr nasz zapewne nie stanowi wyjątku. Osiągnięcie to nasuwa jednak z kolei uwagę ostrzegawczą, że nie każdy aktor ma dyspozycje reżyterskie, a zwłaszcza umiejętności przydatne w teatrze amatorskim, truzmem zaś stała się już dzisiaj zasada, iż teatr amatorski nie powinien naśladować zawodowego.

Te pobieżne uwagi nie mają na celu pomniejszenia prestiżu Teatru im. J. Osterwy w dniach jubileuszowych. Markują tylko parę kwestii zasługujących na głębszą analizę.

Dobry repertuar w dobrym wykonaniu — oto znany, odwieczny ideał uczelnych ludzi teatru i bezkompromisowe żądanie jego kibiców. — Darujcie, że tylko tyle! — odparowałby Francuz, który by znalazł nasze kłopoty.

No bo i prawda, troszkę niekiedy nastęca niedobór polskiej dramaturgii o treściach współczesnych, ale jeszcze więcej trudności — realizacja pełnowartościowego repertuaru, zwłaszcza tzw. wielkiego. Oczywiście znowuż nie tylko w Lublinie. Największe osiągnięcia ma, jak stwierdzono niejednokrotnie, scenografia, trudniej jest natomiast o właściwe skompletowanie zespołów aktorskich. Kadry znakomitych polskich aktorów, przetrzedzone z latami, skoncentrowane są przeważnie w reprezentacyjnych teatrach warszawskich. Repertuar tedy opiera się w ogromnym stopniu na młodzieży aktorskiej. Jest to po części dobre, po części — niedobre. Kiełkuje niewątpliwie sporo talentów (scena lubelska może się też kilkoma poszczycić), to jakoś odświeża sztukę teatralną, wypiera sztamę. Jednakże potępiając bezduszną rutynę, cenimy, jak wiadomo, warsztat, a warsztatu niestety sama szkoła dramatyczna nie da. Warsztat się zdobywa — też wiadomo — z biegiem lat. Wydaje mi się przeto, że patrząc z nadzieją w przyszłość, nie możemy zamykać oczu na dzisiejsze trudności kadrowe, dające się szczególnie we znaki, gdy chodzi o właściwą obsadę sztuk monumentalnych, gdzie nieraz odpowiedzialne role wypadają podwójnie adeptom sceny, którzy powinni na razie zaprawiać się w kunszcie scenicznym jako wykonawcy epizodów. W dzisiejszych warunkach ważniejsza niż kiedykolwiek staje się więc twórcza i pedagogiczna praca reżyterska. I więcej niż kiedykolwiek ważna jest praca aktora nad sobą, od której aktor nie powinien być odrywany potrzebą zarobkowania „akcydensami”.

W związku też ze sprawą artystycznego rozwoju aktora muszę wrócić na chwilę do niewątpliwego osiągnięcia teatru — do jego działalności objazdowej, by postawić pytanie (coż za paradoksalna sytuacja!), czy nie byłoby słuszniej zezwolić teatrowi, ażeby kładł nacisk raczej na dopingowanie właściwych czynników do zwielokrotnienia przyjazdów ludzi z terenu na niektóre spektakle dawane w siedzibie? I czy nie czas już na centralne opracowanie koncepcji sieci teatrów wyłącznie objazdowych, znanych nam z praktyki czechosłowackiej?

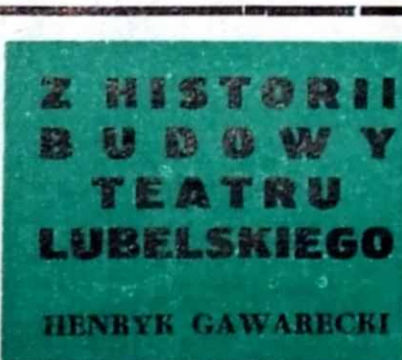
Niestety bowiem ani sztuki grane w terenie przez teatry wojewódzkie nie są częstokroć odpowiednie, ani wykonanie, dostosowane na poczekaniu do warunków salki, nie jest pełnowartościowe.

Takie oto postulaty i refleksje może nasuwać dość wysoki już stopień rozwoju prowincjonalnego życia teatralnego jaki dał się stwierdzić m. in. w świetle materiałów przeanalizowanych przy okazji jubileuszu Państwowego Teatru im. J. Osterwy w Lublinie.

Maria Bechzyk-Rudnicka



„Karol” Sławomira Mrożka w P. Teatrze im. J. Osterwy. Na zdjęciu: Marian Drozdowski, Zdzisław Winiarczyk i Witold Lisowski (Recenzja w następnym nrze).



W DNIU 6 lutego 1886 r. — a więc niemal osiemdziesiąt lat temu — odbyło się inauguracyjne przedstawienie w nowo wystawionym teatrze przy ul. Narutowicza (wówczas nosiła ona nazwę Namiestnikowskiej).

Dzisiaj, z okazji dwudziestolecia Teatru im. J. Osterwy — pierwszego teatru w Polsce Ludowej — warto przypomnieć historię starych społeczeństwa lubelskiego o powstanie nowej nowoczesnej sceny i jej budowy w drugiej połowie XIX wieku.

Jak wiadomo, pierwszym stałym budynkiem teatralnym w Lublinie był wystawiony w 1822 r. teatr zw. „Zimowym” przy ul. Jezuickiej (dziś kino „Starmiejskie”). Choć był dość obszerny i wygodny, stosunkowo wczesnie przestał wystarczać miastu. Już około 1839 r. sporządzone były plany „na wystawienie wspaniałego gmachu na Teatr”. Niestety nie są bliżej znane szczegóły tego przedsięwzięcia.

W okresie późniejszym, niedogodności teatru Zimowego, szczególnie uciążliwe dla publiczności w lecie, były częściowo niwelowane przez prowizoryczne sceny ogródkowe-letnie, cieszące się dużym powodzeniem).

Choć narzekania na teatr Zimowy p. Makowskiego powtarzały się, to jednak do wszczęcia poważnych kroków w celu budowy nowego teatru doszło dopiero w 1877 r. W tym roku bowiem Roman Okulicz-Kozaryn, ziemianin, właściciel maj. Kielcewice, prezes Lubelskiego Towarzystwa Dobroczynności, wystąpił z propozycją wybudowania nowego gmachu teatralnego na własny koszt i ryzyko. Podjęmując tę inicjatywę władze miejskie obiecały poczynić Kozarynowi wszelkie ułatwienia, przede wszystkim zaś przekazać pod budowę teren leżący u zbiegu trzech ulic: Kapucyńskiej, Namiestnikowskiej i Szpitalnej.

Projekty budowy zamówiono u trzech lubelskich architektów: Aleksandra Zwierzchowskiego, konduktora robót miejskich, Bolesława Orłowskiego — budowniczego powiatu puławskiego oraz Ludwika Szamoty — budowniczego gubernialnego.

Pierwszy z projektów był najbardziej okazały, ale jednocześnie najdroższy. Koszt budowy zamykał się sumą 50 tys. rubli; teatr mieścił ogółem 470 osób, z tego na parter przypadały 182 miejsca. Z frontu gmachu projekt przewidywał parterowy podjazd kolumnowy; na scenę zaś wjazd z ulicy „w razie potrzeby wprowadzenia ekwipaży”. Na elewacjach projektowano umieścić „popiersia medalonowe znakomitych dramaturgów”.

Teatr B. Orłowskiego mógł pomieścić 600 osób, a koszt budowy obliczono na 40 tys. rubli.

„Najtańszy a zarazem najharmonijniej woadający w oczy jest teatr według planu p. Szamoty” — pisał wówczas dziennikarz „Kurier Lubelski” (4). Według tego planu teatr, zwrócony frontem na ulicę Panny Marji miałby dookoła objazd dla narzędzi





(Dokończenie ze str. 6)

krajów NATO przed atakiem ze strony — wiadomo! — Związku Radzieckiego. Dlaczego po normalnych szlakach handlowych? — no, żeby te statki WSN, które z wyglądu niczym się nie będą różnić od zwykłych frachtowców, a więc na szlakach handlowych nie budzące żadnych podejrzeń, mogły niepostrzeżenie wykonywać swoją misję patrolową, a w razie konieczności — ogniuq.

Wszystko więc zostało tu dobrze zamaskowane. Nawet pociski nuklearne szczególnie przesłonięto kadłubami zwyczajnych frachtowców. Nie udało się tylko zamaskować prawdziwego celu tej całej imprezy, o której realizację Niemcy zachodnie w osobie byłego ministra obrony Franz-Josefa Straussa (i nie tylko jego) zabiegały w oficjalnych czynnikach amerykańskich, jeszcze zanim rząd USA wystąpił oficjalnie z tą propozycją wobec swoich europejskich partnerów. Dla nich była to propozycja rewelacyjna. Ale rząd zachodniemiecki co najmniej współuczestniczył (osobista nie wyklucza nawet ojostwa duchowego) w przygotowaniu tego projektu. Co więc było — i pozostaje — celem prawdziwym WSN? Żeby wyluskać cel prawdziwy, trzeba przeanalizować cele, które formułują sami autorzy i orędownicy tego projektu. Powiadają: wzmocnić nuklearną zdolność obronną NATO. Nieprawda. Dwa razy nieprawda. Bo po pierwsze — oni, i cywile, i wojskowi, doskonale wiedzą, że Związek Radziecki, że obóz socjalistyczny nie nosi się z zamiarem agresji. Po wtóre — WSN wcale nie zwiększają ich zdolności obronnej. To twierdził mi, i to samo twierdzi się na Zachodzie. 14 listopada w oświadczeniu agencji TASS m. in. przeczytaliśmy: „Utworzenie wielostopniowej floty jądrowej NATO nie mogłoby w najmniejszym stopniu zmienić obecnego układu sił na świecie”. A na Zachodzie: „WSN są pod względem militarnym nonsensem i niczego nie dodają do siły Zachodu” — powiedział premier W. Brytanii Harold Wilson. Militarną wartość WSN zakwestionował niedawno senator amerykański ze stanu Oregon, Wayne Morse. Sekretarz generalny francuskiej UNR-UDT, Baumel, powiedział: „Projekt ten jest z punktu widzenia wojskowego nieskuteczny, z punktu widzenia technicznego — absurdalny, a z politycznego punktu widzenia — niebezpieczny”.

Przytaczam tylko kilka głosów, które teraz, gdy piszę ten felieton, mam akurat pod ręką. Inne całym dziesiątkami kołaczą w mej pamięci. Ale z pamięci nie chcę cytować. Więc jeszcze jeden głos — nie z pamięci: „Jeśli wziąć pod uwagę aktualny potencjał strategiczny USA, to WSN są z wojskowego punktu widzenia czymś zgoła nieistotnym”. To powiedział człowiek o niezbyt wysokiej randze, bo za ledwie kapitan marynarki w politycznym sztabie planowania amerykańskiego ministerstwa obrony, John H. Cotten. A jak powszechnie wiadomo, póki wojsko wojskiem, niższe szczeble nigdy nie wypowiadają opinii sprzecznych z opiniami przełożonych (nieczęsto to się zdarza i w organizacjach niewojskowych).

Powiadają: WSN pomogą — z jednej strony — w załagodzeniu sprzeczności między europejskimi członkami

NATO, z drugiej zaś — wzmocnią nadzarczynię ostatnio zaufanie europejskich „atlantydwów” do Stanów Zjednoczonych. Nieprawda. Im intensywniej forsuje się WSN, tym bardziej te sprzeczności (mające zresztą najrozmaitsze źródła) narastają, a gdy w pewnym okresie rządy w Waszyngtonie i w Bonn zagroziły, że jeżeli partnerzy europejscy w dalszym ciągu będą stawać okoniem wobec realizacji projektu WSN i Niemcy zachodnie same zrealizują ten projekt — w NATO-owskiej Europie podniósł się taki szum, iż dwie te stolice szybkożko musiały uznać swój zamiar za nieuczestny. Na marginesie warto tu dodać — bo charakteryzuje to dosadnie stosunek poszczególnych „atlantydwów” do WSN — że nie wszystkie kraje europejskie, które uczestniczyły latem tego roku w pracach tzw. grupy roboczej do studiów nad planami WSN (USA, W. Brytania, NRF, Włochy, Belgia, Holandia, Grecja i Turcja), przystąpiły na udział swej załogi w propagandowym i „wzorcowym” rejsie niszczyciela „Claude V. Ricketts”. Belgów tam nie było. Dalej — nawet nie wszystkie kraje, które oddelegowały na pokład tego niszczyciela swe załogi, opowiadają się za WSN. Na pewno, np. wiadomo, że Anglia ich nie chce, a w każdym razie — nie w obecnym ich kształcie. Dania i Norwegia — przeciw „atlantydwom” — niemal z regularnością nowiu księżycu powtarzają oficjalnie, że do WSN nie przystąpią i że nie zezwolą na to, aby statki WSN zawiązały do ich portów. A stanowisko znów Francji — z twardejch najtwardsze. Oczywiście, raczej jakimi się powodują poszczególne opowenenci, nie są jednorodne, ale nie to przeciw stanowi przedmiot niniejszych dociekań.

Jaki więc jest ten prawdziwy cel utworzenia WSN? Ładu do NATO nie wnoszą. To jest stwierdzenie jedno. Nie zwiększają nuklearnej zdolności obronnej NATO-owskiej Europy, albo, żeby wrócić raz jeszcze do sformułowania TASS, „nie mogłyby w najmniejszym stopniu zmienić obecnego układu sił na świecie”. To jest stwierdzenie drugie. Ale WSN — gdyby je zrealizować — mogłyby zmienić układ sił w samym NATO, i to na korzyść (a ku niepokojowi w Europie) Niemiec zachodnich. Od zespolewego dostępu do cyngla atomowego do samodzielnego dysponowania tą bronią droga już niedaleka. Przecież nikt w to nie uwierzy, że rząd zachodniemiecki gotów jest pokrywać aż 32 procent kosztów zorganizowania i utrzymywania WSN (a są to koszty bardzo duże) tylko za symboliczny niejako udział w tym przedsięwzięciu nuklearnym. Zresztą, nie ma potrzeby oddawać się przypuszczeniom, skoro wszyscy niemal promienicy zachodniemieccy z całą otwartością mówią o swoich nadziejach nuklearnych, jakie wiązą z WSN. I dlatego również i my musimy z całą otwartością — i stanowczością — wskazywać na niebezpieczeństwo, jakie WSN w sobie kryją. Zaden z naszych głosów nie jest tu zbędny. Bo i zagranica przecież nas słucha, i to coraz uważniej. Społeczność międzynarodowa, a zwłaszcza europejska — co wynika ze szczególnych jej doświadczeń — nie chce nuklearnej Bundeswehry. I tak samo jak my żąda nie odroczenia, nie zmodyfikowania, ale całkowitego zastopowania tego nuklearnego zamysłu.

### „Akcja miłosierdzia“

**W**ŁASNIE tak — „akcją miłosierdzia“ — nazwały zachodnie tuby propagandowe międzynarodową interwencję imperialistyczną przeciwko powstańcom kongijskim. Uzasadniano

lubelskich — braci Adolfa i Juliusza Fricków, właścicieli browaru przy ul. Misjonarskiej (dziś ul. Szymonowicza), wystąpił do gubernatora z prośbą o sprzedanie części placu pokapucyńskiego dla wystawienia teatru. W 1884 r. zawiązana została spółka cywilna „Teatr lubelski”, której kapitał zakładowy miał wynosić 150 tys. rubli, z udziałami po 500 rubli.

Konkurs na budowę teatru ogłoszono w 1882 r. wyznaczając trzy nagrody 750, 450 i 300 rubli. Z nadesłanych pięciu prac komitet sędziów, w poczet których zaproszony został L. Szamota, budowniczy gubernialny, uznał za najlepszy i najpełniej odpowiadający warunkom konkursu projekt Karola Kozłowskiego, wziętego warszawskiego architekta.

Budowę według nagrodzonego projektu rozpoczęto w 1884 r., pod kie-

(Dokończenie na str. 15)

1 chęcią uratowania zakładników. Nie prawda. Na Stanleyville dokonano desantu w czasie, gdy trwały rokowania z przedstawicielami innych państw afrykańskich i z powstańcami. Później mówiono, że powstańcy zabijali zakładników. Nie chcę tego usprawiedliwiać. Nikt tego nie usprawiedliwia. Ale nie wszyscy chcą pamiętać, że w roku, zdaje się, 1900, Kongijszyków było 20 milionów. Dziś jest ich już tylko 12 milionów. To były koszty panowania kolonialnego — i to wytworzyły określony klimat panujących tam stosunków międzyludzkich. „Humanitarna” operacja wypadu na Stanleyville zrealizowana została wspólnie przez Belgów, którzy dostarczyli żołnierzy, Amerykanów, którzy dostarczyli samolotów i Brytyjczyków, którzy oddali do dyspozycji bazę na Wyspie Wniebo-wstąpienia. I oto na skrzydłach samolotów, startujących z Wyspy Wniebo-wstąpienia, do Konga przetransportowano wszystkie rekwizyty piekła. Pisał z miejsca wydarzeń korespondent prawicowego dziennika paryskiego „Figaro”:

„Przyglądam się oczyszczaniu gniazda powstańców. W domu, w którym się ukrywają, znajdował się przedtem ich sztab. Ci, którzy nie zdołali uciec, ukryli się w szafach i pod stolami. Nie wyciąga się ich nawet z tych kryjówek. Strzela się do nich po prostu długimi seriami z ręcznych karabinów maszynowych. Granat ręczny wieńczy dzieło. Jeszcze długo, zbyt długo strzelać się będzie do zwłok i to strzelać z tak bliska, że krew obryza ludzi „wymierzających sprawiedliwość”.

Już sam przytoczony tu opis „wymierzania sprawiedliwości” (opis, powtórzmy, nadesłany przez korespondenta dziennika prawicowego) wystarczy aby wyrobić sobie względnie dokładne wyobrażenie o tych, którzy są wykonawcami tej „sprawiedliwości”. Ale nie opierajmy się na przypuszczeniach, na domysłach. A nuż są zwodne? Zresztą, i z tego jeszcze powodu nie stoimy wobec konieczności opierania i budowania naszych sądów na domysłach, jako że dysponujemy dostatecznym obszernym materiałem faktologicznym. Oto tygodnik „Stern”, ukazujący się w Niemczech zachodnich, w Hamburgu, zamieścił raport swoich wysłanników w Kongu, poświęcony białym najemnikom i bogato ilustrowany oryginalnymi zdjęciami. Ten dwuczęściowy raport, zatytułowany „Droga landsknechtów”, ukazał się w dwóch kolejnych numerach tego zachodniemieckiego tygodnika. Nie zamierzam streszczać tu całości (choć przekonany jestem, że czytelnik na pewno nie uziałby mi tego za zło), a przytoczę tylko nie fragment nawet, lecz fragmenty tej części raportu, w której wysłannicy „Sterna” opisują rozmowę, jaką mieli z dowódcą grupy białych najemników, kapitanem Siegfriedem Müllerem.

„Weszliśmy do domu. Świece rozjaśniały nędzny pokój. Sufit zwisał nieomal do połowy. Królestwo kapitana Siegfrieda Müllera. Śmiał się, kiedy mu powiedzieliśmy, kim jesteśmy: „Ach, panowie z prasy! Byli już różni u nas w Kamina (obóz szkoleniowy najemników — przyp. red. „Stern”). Schodziłem im z drogi, ponieważ w Niemczech panuje, być może, pewien nastrój”. — „Co za nastrój” — pytam. — „Niemcy nie powinni służyć pod obcymi sztandarami. Tutaj problem jest oczywiście inny. Służymy co prawda pod obcym sztandarem, ale właściwie mamy ten sam cel, co Republika Federalna: walka przeciwko bolszewizmowi”. Gdy mówił, przewodził mi do głowy, że prawie wszyscy biali najemnicy, z którymi dotychczas rozmawiałem, na pytanie, dlaczego tutaj są, odpowiadali z początku: „Walczymy przeciwko komunizmowi”. Później jednak okazywało się, że o sytuacji politycznej mają oni tylko bardzo niejasne wyobrażenie, zaś ich rzeczywiste powody stawały się jasne. Chcieli zarobić pieniądze, zakosztować władzy i przeżyć przygodę... Siegfried Müller ma lat 44, jest średniego wzrostu. Ogolił sobie głowę na zero, tak jest wygodniej w okresie upałów. Mówi wolno i podkreśla swoje słowa przy pomocy ruchów rąk. Rozmawiając z nami przechadza się po pokoju to w jedną to w drugą stronę. Światło świecy rzuca jego cień na ścianę. Przyglądam się żelaznemu krześłu, który Müller nosi z taką samą dumą dziś jak przed dwudziestoma laty. Jest to oryginalny krzysł zastąpił ze swastyką. — „Zasłużyłem sobie na niego w roku 1943 w Rosji” — mówi Müller. — „Ale tutaj nie ma przecież orderów” — mówi. — „Nie, za to jednak są pieniądze”. Kapitan Müller nie mówi o wysokości swego żołdu (który wynosił 1250 dolarów — przyp. red. „Stern”), ciągnie jednak dalej: „Żołnierzom wol-

no jednak grabić. Co znajdują, należy do nich. Poza broń. Broń muszą oddawać. Zegarki, biżuteria i inne rzeczy wartościowe są ich prawowitą zdobyczą”. — „Tu, w dzungli, nie ma przecież nic do grabienia” — mówię. Kapitan kiwa swoją łysą głową. — „W murzyńskich wioskach nie ma. W tym celu trzeba zdobywać miasta”.

Z tego nadesłanego z Konga reportażu przytoczyłem fragmentek za ledwie, ale i tego wystarczy na to, aby móc wyrobić sobie wyobrażenie (oparte już nie tylko na naszych domysłach) o tych, których wynajęto do „wymierzania sprawiedliwości”.

Ale na czym polega wina Kongijszyków? Otóż jedyną ich „winą” jest to, że ich kraj jest bogaty. Gdyby przebogata w kopaliny Katanga (a eksploatają te bogactwa górnicyw koncerny właśnie belgijskie, angielskie i amerykańskie) nie była częścią Konga, nigdy nie byłoby tzw. kryzysu kongijskiego. Przecież istota rzeczy jest tu bardzo prosta. Biali nie chcą spisać eksploataowanych przez siebie bogactwo na rachunek strat, a czarni się przeciwko temu buntują, jako że chcą wreszcie być gospodarzami swego kraju. Umyślnie — i wbrew mojemu światopoglądowi — wprowadzam tu podział na białych i czarnych, zamiast mówić o kolonialistach i wyzyskiwanych, bez podziału według koloru skóry. Toć na pewno wśród przebywających w Kongu białych ludzi są także, na przykład, i białe służące, uprzątnące po swych białych panach, i biali kierowcy, obwożący swoich białych panów po ulicach czarnych miast. A i wśród czarnych są nie tylko wyzyskiwani, ale (choć stosunkowo mało) i wyzyskiwacze. No, choćby Czombe, który jest milionerem. Jeśli jednak zamieszkałym klasowych wprowadzam tu kryteria rasowe to dlatego, że ostatnia rozprawa imperialistów z Kongijszymi może mieć — poza wszelkimi innymi konsekwencjami — i ten fatalny skutek, że wzmocze nienawiść Kongijszyków, i nie tylko ich, bo również solidaryzujących się z nimi innych Afrykańczyków, do białych ludzi w ogóle. Nie owijajmy rzeczy w bawełnę i nie upiększajmy rzeczywistości. Nie wiem jaki odsetek ludzi zamieszkujących Europę umiałby odróżnić Afrykańczyków z plemienia Baluba od Afrykańczyków z plemienia Kikuju, ale odsetek to na pewno mizerny. Nie możemy się też spodziewać, że Kikuju czy Baluba potrafią odróżnić Anglika od Szweda, Belga od Polaka. I dlatego wolam na całe gardło (przed mikrofonami radia już to uczyniłem), że nie mam z tą wyprawą antykonijską nic wspólnego. Innych również gorąco do tego namawiam. Nasz głos protestu potrzebny jest nie tylko po to, aby położyć kres zbrodni, i to permanentnej zbrodni. On potrzebny jest i po to, aby dotarł do Kongijszyków, do wszystkich Afrykańczyków, i w ten sposób pomógł im (nie wierze, aby dało to rezultaty natychmiastowe!) w uświadomieniu sobie tej pozornie tylko łatwej prawdy, że to nie biali, lecz imperialiści ich marnują. Kolportowanie tej — już klasowej — prawdy jest niedozwolne, jeśli chcemy, aby świat jutrzejszy był lepszy od dzisiejszego, żeby był lepiej i rozsądniej zorganizowany. Bo kto wie — prywatna to moja hipoteza — czy aby jednym z celów, przyswieszcających interwentom (nie tylko w tym konkretnym przypadku) nie jest właśnie to, aby rozjątrzyć, aby rozpalili nienawiść czarnych do nieczarnych. Zwłaszcza, że w tym świecie nieczarnym wyodrębnił się świat socjalistyczny, którego hasła, którego program, którego praktyczna działalność zmierza do zlikwidowania kolonializmu we wszelkich jego postaciach i do ułożenia stosunków między ludźmi, między narodami, na całkowicie nowych, obcych kapitalizmowi zasadach. Kto więc wie — ciągnę dalej moją hipotezę — czy aby imperialiści znalazłszy się wobec konieczności opuszczenia skolonizowanych ongiś krajów (z większości musieliby już zrezygnować), a chcąc zagrozić drogę naszym hasłom, naszemu programowi nowych stosunków międzyludzkich i międzynarodowych, nie uciekają się właśnie do interwencji, aby w ten sposób skompromitować w oczach ludzi czarnych w wszystkich ludzi białych, albo ogólniej jeszcze rzecz ujmując — w wszystkich nieczarnych. Przypomina to poniekąd czyn ociemniałego Samsona (obszernie o nim w „Opowieściach biblijnych” Kosińskiego), który zawolałszy: „niech umrze dusza moja z Filistynami”, wstrząsnął filarami świątyni boga Dagona.

Tyle tylko, że czynowi Samsona — w odróżnieniu od zamysłu zbankrutowanych kolonialistów — przyświecał cel szlachetny.

Stefan Chaniec-Chanachowicz

ogniowych na wypadek pożaru, od ulicy Kapucyńskiej, zaś rodzaj skweru oddzielonego od niej sztachetami żelaznymi; od ulicy Wyzwolkowskiej usytuowano budynki gospodarcze. Na widowni mogło pomieścić się 450 osób, koszt budowy obliczony był na 36—38 tys. rubli. Architekturę gmachu zaprojektowano „w stylu włoskim”, elewacje ozdobione być miały „popiersiami znamiennych dramaturgów i figurami emblematycznymi”<sup>5</sup>). Znając działalność zawodową Ludwika Szamoty (w Lublinie według jego projektu wystawiony był m. in. hotel „Europa”) należy sądzić, iż teatr ten przedstawiał się istotnie interesująco.

Niestety, pomimo tak zaawansowanych przygotowań, nie doszło do budowy teatru przez Kozaryna.

Jednak, już w kilka lat później — w 1880 r. — budowniczy Jan Junczewski, działając w imieniu przemysłowców



# 20 lat Liceum Sztuk Plastycznych

MARIAN IWAŃCIÓW I ZBIGNIEW KOŚMIŃSKI

**P**RZY Placu Wolności 2 w Zamościu, w starym, renesansowym gmachu, który zamyka zwartym masywem wylot ul. Staszica i Zeromskiego na ulicę Partyzantów, mieści się kino „Stylowy” i szkoła artystyczna II stopnia — prawie rówieśnik Polski Ludowej — Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych.

Istnieje ono od r. 1945. Można o nim mówić jako o szkole z tradycjami. Powstała wtedy, gdy skrwawiona okropnością wojny i pacyficyzacji Zamojszczyzna gościła w swym bliznym i zmurowanym znowu odbudowy i przebudowy kraju. W warunkach demokracji ludowej rosła możliwość rozwoju wszechstronnych objawów życia. Trudności materialne i organizacyjne nie przestraszały nikogo: entuzjazm równoważył brak środków. Hasła wszechstronnego rozwoju człowieka w procesie wychowania, upowszechnienia oświaty, kultury, nauki i sztuki, wysunięte przez władze, podejmowała zamojska grupa artystów, tworząc w roku 1945 na terenie miasta Szkołę Sztuk Plastycznych. Głównym inicjatorem tego dzieła był pierwszy dyrektor uczelni — artystyk Lucjan Pakulski, mieszkający obecnie w Warszawie.

Do szkoły — początkowo prywatnej — zgłaszały się kandydaci w różnym wieku i o różnym stopniu przygotowania. Obok kierunku artystycznego spotykały się tu z plastyką użytkową: uczyła się tkactwa, technik malarstwa ściennego i kreślenia. Kształcą się kadry artystów-tykaczy, dekoratorów, literników i kreślarzy. Niektórzy myślą o wyższych studiach plastycznych.

Po kilku miesiącach dyrektorkę obejmowała Halina Rogińska — znana na terenie miasta polonistka i miłośniczka sztuki plastycznej. Prowadzi szkołę do r. 1956. Rok szkolny 1946/47 przynosi zmiany: prywatna średnia uczelnia artystyczna przekształca się w Liceum Sztuk Plastycznych.

Z pracowni tkackiej wychodzą piękne kilimy i gobeliny, ozdabiając nawet najbardziej reprezentacyjne sale w Warszawie. Jednak i na skutek opinii, że tkactwo artystyczne jest sztuką eliarną i że liceum nie powinno się zajmować produkcją, Ministerstwo Kultury i Sztuki, w porozumieniu z ówczesnym Ministerstwem Rolnictwa i Reform Rolnych, poleciło zaprzestać nauczania w kierunku tkactwa i przekazać warsztaty „Samopomocy Chłopskiej”. Wychowanki w Liceum Sztuk Plastycznych i Ognisku tkackim zakładają w roku 1951 spółdzielnię „Wzór”. Ze względów oszczędnościowych zawieszono także działalność Powiatowego Ogniska Kultury Plastycznej. Późniejsze próby powołania ogniska społecznego podejmowane w latach 50-tych i 60-tych

nie dały rezultatów z powodu braku odpowiedniej bazy materialnej.

Pozostało Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych. Z powodu zmian w ustroju szkolnictwa polskiego przekształcone zostaje w r. 1950 w szkołę czteroletnią, a w r. 1952 — w pięcioletnią. Do r. 1956 istnieją obok siebie dwa kierunki kształcenia plastycznego: artystyczny i w zakresie technik malarstwa ściennego. W poszukiwaniu odpowiedniego profilu dla Liceum Sztuk Plastycznych dokonuje się dalszych zmian: zmniejsza się liczbę godzin przeznaczonych na naukę przedmiotów artystycznych, zwiększa się przydział godzin na ogólnokształcące. Chodzi w tym wypadku o pełne zrównanie pod względem przygotowania do studiów w różnych kierunkach absolwentów liceum sztuk plastycznych z absolwentami liceum ogólnokształcącego.

Zmianom strukturalnym i programowym towarzyszy poszukiwanie odpowiednich metod nauczania, szczególnie w zakresie przedmiotów plastycznych. Młode, powstałe dopiero w Polsce Ludowej, szkolnictwo średnie tego typu wypracowuje własne metody dydaktyczno-wychowawcze. Rozwijanie zdolności twórczych i poznawanie różnych technik w oparciu o studium z natury stają się podstawą nauki przedmiotów plastycznych, które łącznie z propedeutyką historii i teorii sztuki są zasadniczymi czynnikami kształtującymi charakter i psychikę młodzieży.

Od początku istnienia szkoły zdecydowana większość uczniów rekrutuje się ze środowiska robotniczego i chłopskiego. Oni stanowią o obliczu Liceum, z nich pochodzą najzdolniejsi absolwenci. Oto w 1957 r. po złożeniu egzaminu dojrzałości Hyszard Rybicki — chłopiec z zamojskiej robotniczej rodziny, kandydując na studia malarskie w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie zostaje przyjęty od razu na drugi rok. W 1963 r. absolwent Edward Ingot, któremu ze względu na bardzo trudne warunki materialne przez cały czas pobytu w Liceum pomagało Kuratorium w Rzeszowie, również dostaje się od razu na drugi rok Wydziału Malarskiego Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Zamościanin Stanisław Baraniak który ukończył szkołę w 1956 r., zatrudniony jest obecnie przy opracowywaniu szaty graficznej pomnikowego dzieła — „Wielkiej Encyklopedii

Powszechnej”. Wcześniej opuścił mury Liceum aktualny wicedyrektor Liceum Technik Plastycznych w Supraślu k. Białegostoku — Bronisław Wojniak, uczestnik wielu wystaw malarskich wojewódzkich, międzywojewódzkich i ogólnopolskich. Przykłady można mnożyć.

O wynikach osiągniętych przez zamojską szkołę świadczy fakt, że duży procent (ok. 50) absolwentów dostaje się na wyższe uczelnie o różnych kierunkach. Pozostali łatwo znajdują pracę jako kierownicy świetlic, opiekunowie zespołów plastycznych, dekoratorzy, są zatrudniani w wydziałach i domach kultury. Wystarczy powiedzieć, że zazwyczaj zapotrzebowanie na pracowników — absolwentów Liceum zamojskiego jest większe, niż liczba kandydatów.

Praca nauczycieli Liceum nie ogranicza się tylko do zajęć szkolnych. Plastyki stawiają sobie ambitny cel: popularyzację sztuki w środowisku zamojskim, inni — w publicznych odczytach i wystąpieniach wskazują na bogate tradycje historyczne i kulturalne miasta oraz całej Zamojszczyzny, sugerując kierunki rozwojowe życia kulturalnego itd.

Popularyzacja sztuki ma dwójaki charakter. Jedną formą obejmuje starsze społeczeństwo miejscowe, dla którego organizowane są wystawy malarskie i odczyty o plastyce. Wystawy zapoznają nie tylko z dorobkiem twórczym zamojskiej, dość licznej i prężnej grupy artystów, ale i artystów z innych środowisk. Urządzane są również wystawy problemowe.

Drugą formą popularyzacji sztuki jest nawiązanie kontaktu ze szkolnictwem podstawowym na terenie powiatu. Dzięki poparciu Wydziału Oświaty i Wydziału Kultury Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, Zarządu Oddziału Związku Nauczycielstwa Polskiego i Powiatowego Ośrodka Doskonalenia Kadr Oświatowych zorganizowano w r. 1957 kurs dla nauczycieli rysunków oraz zainicjowano olimpiady rysunkowe dla dzieci szkół podstawowych z całego powiatu. Olimpiady, kończące się dorocznymi wystawami połączonymi z przyznawaniem nagród za wyróżniające prace uczniów i wkład nauczycieli, dały bogaty materiał pozwalający na wyciągnięcie odpowiednich wniosków, które znalazły odzwierciedlenie w prasie. Inicjatywa

ta kontynuowana była potem przez Inspektorat Szkolny i Powiatowy Ośrodek Doskonalenia Kadr Oświatowych.

Dzięki tak wielostronnej akcji krzewienia kultury plastycznej powstał w Zamościu odpowiedni klimat, który zdecydował o stworzeniu przy tu-tejszym Zaocznym Studium Nauczycielskim kierunku kształcenia nauczycieli zajęć praktycznych i wychowania plastycznego w szkołach podstawowych.

Na tym jednak nie kończy się wpływ i oddziaływanie Liceum Plastycznego na środowisko. Wiele placówek społecznych w Zamościu nie może się już obejść bez pomocy szkoły. Weszło w zwyczaj, że oprawa plastyczna wszelkich okolicznościowych uroczystości wykonywana jest w trybie pracy społecznej przez uczniów Liceum Plastycznego pod fachowym kierunkiem nauczycieli-plastyków. Uczniów Liceum widać było przy budowie Domu Kultury, robotach przy jeziorze-zalewisku, porządkowaniu kwiatników i zadrzewianiu. Plakaty, wykresy, plakaty wykonane przez wychowanków tej szkoły, jak również prace artystyczne, ozdabiają wiele wnętrz różnych instytucji miasta. W konkursach, zawodach i innych imprezach uczniowie Liceum zajmują nieraz czołowe miejsca mimo że jest ich w szkole mniej, niż 200. Tak było niejednokrotnie w konkursach recytatorskich, zawodach strzeleckich, kościuszkowskich, sportowych, olimpiadach erudycji itd. W zetemesowskiej III Ogólnopolskiej Olimpiadzie Szkolnych Lig Quizowych w 1962 r. drużyna Liceum reprezentowała województwo lubelskie i zajęła IV miejsce w kraju, a w 1963 r. uzyskała w eliminacjach rejonowych II lokatę. Główną rolę w filmie Nasfetera „Kolorowe pończochy”, nagrodzonym na festiwalu w Wenecji, grała uczennica IV klasy zamojskiej szkoły plastycznej — Zofia Bodakowska. Aktualnym żeńskim mistrzem szachowym miasta i powiatu jest dziewczynka z III klasy tego Liceum.

Wkrótce, w 1965 r. Liceum obchodzić będzie XX rocznicę powstania. Przy tej okazji warto przypomnieć o znaczeniu tej placówki dla środowiska, o jej osiągnięciach i pracy. Warto też pomyśleć o polepszeniu jej warunków lokalowych, tym bardziej, że przygotowywana reorganizacja zmierzająca do większego jeszcze uzawodowienia tego typu szkół wymagać będzie nowych pracowników i pomieszczeń na warsztaty pomocnicze.

## W MALARZOWYM EREMIE

(Dokończenie ze str. 5)

Kononowicz stale wystawia swe obrazy w ramach ekspozycji Lubelskiego Oddziału ZPAP, miał też szereg wystaw indywidualnych, m. in. w Lublinie w 1946 r. pod protektorem L. Czugały, przewodniczącego PWRN, jubileuszową w Lublinie w 1958 r. z okazji 40-lecia pracy twórczej (pod protektorem przewodniczącego Pawła Dąbka) — uzyskał wtedy Z. Kononowicz nagrodę wojewódzką I stopnia. Poza tym wystawiał w Katowicach w 1959 r., w Bytomiu, Gliwicach, Szczecinie i Warszawie w 1960 r., ostatnio na wiosnę br. w Lublinie (nadał mu w Lublinie wystawę drzeworytów w lipcu br. w Klubie MPiK). Z wystaw pozostały katalogi, z których każdy jest jednocześnie swego rodzaju albumem artysty. Bierze też Z. Kononowicz często udział w wystawach tematycznych ogólnopolskich, np.: Martwa natura w malarstwie polskim (w przekroju historycznym) Warszawa 1939, wystawa szkiców z wojny p. n. „Polonia” Lublin 1944—45, Polish art today, New York 1943, Martyrologia i walka narodu polskiego 1939—1945, Lublin 1948, Lublin w grafice — 1954, Polskie dzieło plastyczne w XV-lecie PRL, Warszawa 1959, Plastyka Ziemi Nadodrzańskiej, Warszawa 1959, XX-lecie PPR w grafice i rysunku, Warszawa 1963, V Ogólnopolska Wystawa Marynistyczna Warszawa 1964. W r. 1959 Lubelska Spółdzielnia Wydawnicza opublikowała duży album prac malarza, z pełnym ich wykazem i charakterystyką twórczości Kononowicza pióra młodej historyczki sztuki Krystyny Miernowskiej.

Rok 1961 przynosił Kononowiczowi ogromny sukces — wystawę indywidualną w Londynie. Liczne głosy o niej w prasie zagranicznej pełne są uznania dla „Canon”. Przeglądamy angielskie czasopisma, dobre reprodukcje dzieł Kononowicza i uwagi pełne podziwu dla jego sztuki. Np. obszerny artykuł w magazynie artystycznym „Apollo” (którego inny numer zdobi na okładce duża kolorowa reprodukcja widoku Ka-

zimierza) pt. „The uncompromising Canon”, autor P. M. T. Sheldon-Williams.

Zenon Kononowicz — komandor orderu Polonia Restituta — jest pełen planów na przyszłość. Chce wiele malować w Lublinie i Kazimierzu.

Chce szukać nowych dróg, ciągle doskonalić swój warsztat malarski. Długich lat życia, panie Zenonie, wielu pięknych dzieł i dalszych sukcesów!

Ostatni autobus za chwilę odchodzi. Ostatnie spojrzenie na miasto i dalej:

„gdzie pod wieczorem zapachem czystym  
wisła ogromna mając ramiona założone pod głowę  
leży na wznak  
śpi”.

Bohdan Królikowski



Zenon Kononowicz — Stare Miasto w Lublinie (rysunek)



**S**TAD, z dołu, widok to słodkiutki — błąk bezchmurnego nieba, z którego od dwóch tygodni leje się upał, — a pod ten błękit wysoko wyniesiona Góra Zamkowa, z resztkami baszt, sam zamek niewidoczny spoza spienionej zieleni drzew; zieleni ta, spływając w dół dostarcza chłodu i ptaków ku przyodrobieniu parku.

Tuż pod Górą Zamkową, nieco bardziej na wschód, dumnie strzelają w niebo krzyżami zwykły katolicyzmu, stare kościoły, przybrane figurami świętych i witrażami, czego oczywiście nie dojrzyś stąd, widać tylko parę wron, które w drgającym żarze południa leniwie próbują skrzydeł i opadają między wieże.

Kościółów w tym mieście dużo — pod Górą Zamkową trzy, jeden przy drugim, w pochyłość zbocza wrosnięte, skupiają diecezjalny fiolet. Niżej miasto, o dachach schodzących w dół, jak pokruszone, prastare stopnie kamiennych schodów. Zbiegają te dachy ku rzecze, przecinającej miasto i dzielącej je na dwie części, rzecze górskiej, krnąbrnej i gwałtownej, która w okresie wiosennego spływu lodów wylewa szeroko, niesie klody drzewa i koty na krach, grozi drogą i mostom.

Stoją wówczas na mostach żołnierze, rzucają trotyl, w niebo wylatują przy akompaniamencie huku odłamki lodu, izbice mostów trzeszczą pod naporem spiętrzonych zwalów, a sam most zda się płynąć pod prąd rzeki, wraz z krajobrazem i nieboskłonem. Tak to wygląda, gdy się stoi na moście w porze ruszenia kry.

Teraz jest czerwiec, pierwsza połowa czerwca, południe, trzydzieści pięć stopni w cieniu. Rzeka toczy się szpalko, wąskim strumyczkiem, pomiędzy szerokimi, białymi łachami piasku. Rzeka jest upokorzona — można ją przejść zwinawszy nogawki, dziewczyny nawet spódnice nie muszą podnosić. Przy lewym brzegu, na pływicznie schną na piasku klody drzewa, zczepione z sobą metalowymi prętami w tratwę, spławiane i niefortunnie osadzone na mieliźnie. Teraz w tym miejscu woda wysycha, ta woda, która dwa miesiące temu zalewała wysokie brzegi, zasypwała je żwirami, wyrzucała krę i drzewo. Przy wyciąganiu owego drzewa na brzeg jeden z tutejszych mieszkańców popłynął na wieki, razem z kłodą, którą chciał spalić w swoim piecu.

Dużej wody teraz nie ma, jest upał. Żeby móc zamoczyć uda i popływać, trzeba chodzić nad brzegami tej rzeki, wchodzić w nią, szukać głębszego miejsca. Zainteresowani wiedzą, gdzie są te głębiny. Jedna z nich leży pomiędzy mostami. Tam właśnie przed dwoma tygodniami utopił się piętnastoletni chłopiec, inaugurując w naszym mieście sezon utonięć. Pęgrze miał uroczysty i liczny; etatowe żałobniczki, starszki, wracając z cmentarza głośno wyrażały żal, że zmarły nie mógł widzieć, ilu miał kolegów i jaki piękny był ceremonial grzebania.

W tydzień później utonął dwudziestoczteroletni młodzien. Ten pogrzeb już się tak nie udał, zmarły był starszy nieco, a człowiek starzejąc się zyskuje żonę i traci przyjaciół.

Młodzi wiedzą — takie jest ogólne przekonanie — czego chcą i gdzie to znaleźć. Tuż przy moście nie uświadczą na brzegu nikogo, poza nieprzebranym mrowiem malców z mamami, pilnującymi chlapiących się pociech. Młodzi są tu, gdzie i ja się dziś znalazłem półtora kilometra w górę rzeki. Woda tu sięga piersi, a w niektórych miejscach nakrywa z głową. Brzeg rzeki na znacznym odcinku wyłożony jest płytami betonowymi, z tyłu gęste krzaki wikliny, dopiero za nimi wysoki, gliniany stok wiosennego korcia.

Tu, na tym betonowym nadbrzeżu gęsto od czekoladowo opalonych ciał. Chłopcy i dziewczęta, na brzegu, w wiklinie, w wodzie. Gwar. Grają szarotki i kolibry, gdzieś gdzieś w cieniu, nakryta koszulą butelka wina. Jest południe.

Nieco niżej, po drugiej stronie rzeki, paru starszych ludzi w długich spodniach drelichowych, z opadającymi na czoło daszkami czapek. Układają na brzegu kamienie wyrównując je, przygotowują pod betonowe płyty. Pracują powoli, bez pośpiechu. Dźwigają parzące kamienie, dopasowują do siebie, ubijają drewnianym kłosem, z czterema obustronnie przyczepionymi z boków drągami w kształcie luków. Taki ręczny kafar.

Ci tutaj skaczą z rozpędu do wody, na głowę, na ramię, na nogi. Woda bryzga. Chłopcy nurkują, podpływają pod wodą do dziewcząt, one piszczą, próbują ucieczki — ale kilka mocnych rzutów ramion, prychanie — i już podmacywanie zaczyna się od nowa. Każda z tych, które tu przychodzą, jest swoją — tu się kąpią sami s w o i. W powietrzu krzyżują się imiona, śmiechy, nawoływania. Ci tutaj wiedzą, czego chcą i gdzie to znaleźć. Wiedzą?

Mają, zadyszany piasek odważnie, jak kawalek drzewa ciągnięty na lince, przepływa nieopodal rzekę w poprzek. Dwóch młodzieńców rusza w pościg. Dopłynęli, przytrzymali łeb pod wodą. Pies wypłynął, znowu przytrzymali. Właścicielka na brzegu krzyczy i grozi. Zwierzątko wreszcie, oszalale z przerażenia, dopływa do pływicy i ucieka, ucieka... Niewinna zabawa, topienie na niby.

Więc tu, jako się rzekło, półtora kilometra od mostu, na prawym brzegu rzeki kąpie się wyż demograficzny w wieku produkcyjnym. Domniemyany wyż demograficzny. Dlaczego — domniemyany? Znam te twarze, widuje się je nie tylko tutaj. Zresztą jest upał, każdy ma prawo się wykapać, woda jest dla wszystkich, dobra, aczkolwiek za ciepła już woda.

Ci obok kochają ciepło, widać to po nich. Opaleni, rozemśniani, błyskają zębami, skaczą, pływają, urządzają gonitwy i zawody. W fabrykach, w urzędach, w warsztatach, biurach, temperatura osiąga teraz na pewno ponad trzydzieści. Jest południe, do godziny trzeciej jeszcze daleko. Marynarki wiszą w szatniach lub na oparciach krzeseł. Zginają się plecy, ciążą ręce, pot opływa piersi i uda. Po wyjściu z pracy, po obiedzie, ci z fabryk, warsztatów, urzędów, też przyjdą nad rzekę. Ale tutaj nie dotrą, to za daleko dla wymęczonych pracą ciał. Będą się kąpać na dziedzinnej plaży powyżej mostu, lub między mostami, gdzie

przy odrobnie nieumiejętności też się można z powodzeniem utopić. Woda jest dla wszystkich, ale nie o każdej porze.

Most pierwszy w tym mieście, licząc z biegiem rzeki, jest dla ruchu kołowego i pieszego, drugi — kolejowy, a trzeci, Drewniany Most, tylko dla pieszych. Rzeka dzieli miasto, mosty łączą. Na moście pierwszym, ponad barierami, na słupkach, ojcowie miasta rozpinają w dni uroczyste dwa sznury żarówek białoczerwonych. Żarówki płoną przez całe uroczyste noce, uświetniając iluminację miasta.

Teraz jest południe, mosty są daleko, nie widać ich stąd. Mały pieszek ponownie wchodzi do wody, ostrożnie, z kamienia na kamień, popłynął, przyjrzał się jakiejś twarzy, zawrócił ku brzegowi.

Robotnicy, na przeciwnym brzegu rzeki, dźwigają kamienie. Trochę niżej, w płytszej wodzie, kąpią się wopisli. Mundury i buty schowane w krzakach. A nuż patrol? Wojsku się byle gdzie kąpać nie wolno. Choć to daleko, już za miastem — ale diabeł nie śpi, lepiej być ostrożnym. Żołnierze nie zbliżają się do tamtych. Po pierwsze — woda za głęboka, po drugie — nie umieją tak pływać, po trzecie — nie umieją tak się śmiać, tak mówić, słowem — nie umieją.

Tamte dziewczyny nie dla żołnierzy, z frajerami nie chciałyby nawet rozmawiać. Żołnierze muszą wracać do koszar. Tamci — niczego nie muszą. Ot, co. Nie współczujemy niepotrzebnie żołnierzom. Dziew-

# R Y C E R Z E I P A N N Y W O D N E

TADEUSZ PIEKŁO

czą w tym starym i pięknym mieście nie brak. Miasto zresztą słynie — z zabytków i dziewcząt. Różnych dziewcząt — pracujących, uczących się, czekających na szczęśliwe (konieczne szczęśliwe) zamążpójście — i tamtych. Podział to prowizoryczny i płynny, wyrażenie czuły przeprowadzić nie sposób. Pogmatwane są sprawy ludzkie, przenikające się, uzupełniające wzajem.

Upał osiąga szczyt. Robotnicy siadają na kamieniach, rozwijają przetłuszczoną gazetę, jedzą, popijając z butelek, wyciągniętych z wody. Młodzi zbierają się w grupki, otrząsają się z wody, podskakują. Twarze dziewcząt są rozmazane — kredkę i szminek splukana woda, ich twarze przypominają teraz rzeźbione w drzewie naiwne oblicza żeńskich świętych przydrożnych, o farbie splukanej deszczami. Ale wkrótce będzie makijaż, kolorowe sukienki, koszulki wypuszczone na biedra, ciemne okulary. Już są gotowi. Ruszają w tym słońcu ku miastu, ich cienie kroczą przed nimi. Zbliża się pora obiadu, matki ich, czerwone od kuchennego żaru, ocierają pot z twarzy, przesuują garnki, pobrzękują pokrywkami, czeka jado i picie.

Lato jest ich porą, czasem niewypowiedzianej swobody, czasem wielkich możliwości. Dla ubiegłorocznych koleżanek tych dziewczyn, dla niektórych ubiegłorocznych koleżanek od kąpiel i kawiarni, dla tych, które przeszły przez „młyn”, lato jest porą odlotu. Szykują teraz walizeczki i ciuszki. Przedsiębiorczym dziewczynom niewiele potrzeba — trochę bielizny, kredki i pomadki, dowód osobisty ze stałym miejscem zamieszkania, parę sukien, pantofle i dwieście złotych na drogę. Świat przed nimi otworem stoi: Poznań (Targi!), niezawodny Szczecin, Gdynia, Wrocław — duży, piękny świat, w którym zawsze trafi się opiekun, na tydzień, na dwa, a potem inny, a później następny.

I tak lato będzie miało, łatwo, jeśli nie liczyć strachu przed milicją, leniwie, muzycznie i nastrojowo. A kiedy się pozna ten smak, ten urok słonecznych dni, podchmielnych wieczorów i następujących po nich nocy, to wcale się nie chce wracać do mamy, sąsiadów, do opinii publicznej tego miasta, opinii plotkarskiej, czujnej, wszystkowiedzącej. Ale lato mia... Jesienią, gdy się oziebi, gdy zaczną padać deszcze, w kawiarni, oddzielonej od głównego (choć nie największego) placu tego miasta krótką uliczką, rozgależającą się jak aceta w dwie żyły, w kawiarni, położonej właśnie w punkcie rozgałęzienia, zjawia się z szerokiego i pięknego świata tutejsze dziewczyny, postarzałe o jedno lato, którym żyć będą aż do wiosny, w oczekiwaniu sezonu ciepła, słońca, kąpiel i wyjazdów w szeroką Polskę.

Wspomnienia tego lata będą przepływać się z planami na lato następne, będą tematem rozmów przy niskich stolikach kawiarni, gdzie trzeba czekać, aż się ktoś zjawi, przyjezdny, bo miejscowi nie biorą. Więc czekają przy butelce oranżady — po trzy, po cztery przy stoliku. Tu się wszyscy znają. Tu niczego nie ukryjesz, strojem, miną, gestem. Tu się jest obanożnym i obojętnym.

Takie już jest to miasto — miasto kolejarzy, zakonników, miasto wojskowych i dzieci — że o wszystkim wie. To miasto, które do dziś nie chce przeboleć przegranej szansy w nierównej konkurencji o stolicę województwa, szansy na rozwój, wielkomięjski ruch i inwestycje przemysłowe. Miasto, kontentujące się swym wiekiem i skąpych funduszami z województwa, miasto otwartych okien i głów w oknach, głów wdechających na pozór świeże powietrze, a opatrzonych wciśkimi oczyma i zdolnością zapamiętywania.

Miasto o dużych ambicjach i tradycjach kulturalnych, pieczołowicie odkurzanych i usilnie kontynu-

wanych. W Powiatowym Domu Kultury Międzypółdzielczy Ośrodek Kulturalno - Oświatowy wystawia teraz operetkę Jerzego Ławiny Świętochowskiego „Panny Wodne”, rzecze w aktach dwóch i obrazach czterech. Przed dworcem kolejowym tabliczki na wysokim słupku wkopanym u skraju trawnika zachęcają nowo przybyłych do odwiedzenia kilkunastu zakładów gastronomicznych, od lokalu nocnego pierwszej kategorii po bar mleczny na pobliskim rogu.

Panny Wodne ze swymi Rycerzami spędzą wieczór w kawiarni obok „młyna”. Będą mówić o sobie, kto z kim, życzyliwie będą komentować zmiany, zachodzące w powiatach wewnętrznych, życzyliwie i obojętnie będą krały od stolika do stolika. Węszycie interesiki. Szukać jeleni. Ci się od razu dają poznać, są nietutejsi, nie znają środowiska i ono ich nie zna, patrzą na dziewczyny poządlawie. Wiadomo, jelenie. Czasem okazały, częściej bryndza.

O forse trzeba się kłopotać, tato z mamą niechętnie dają i niewiele mogą dać, wiadomo. Pójść do pracy? Ale do jakiej? Foteli dyrektorskich z uśmiechem nie chcą proponować, niestety. Ba, o biurko coraz trudniej. A paraci się narzędziami i brudzić ręce zawsze jeszcze będzie czas. Trzeba korzystać, póki się ojciec i matka nie polapia, że ich dzieciaczki to już dorodli.

Rodzicom to zawsze opornie przychodzi, tacy już są, i tylko dziwią się potem, skąd te ciążę, awantury chuligańskie, takie to przecież dobre i grzeczne dzieci były; rodzice zawsze dowiadują się o tych rzeczach ostatni. Niewspółcześni tacy okropnie. Poza tym są fajni, nie chcą, żeby ich córki i synowie, po szkołach przecież, imali się pierwszej lepszej brudnej roboty, nie wyobrażają sobie tego. Czy to ich dzieci gorsze od tyłu innych, którym się udało? Niech poczeka, aż się coś lepszego trafi.

Czekają więc — nad rzeką, w kawiarni, na ulicy. Jest w tym mieście zwyczaj czekania. Na coś lepszego, na coś ciekawego. Tutaj wieczorem, przy placu, co jest pepek miasta, stoją ludzie gromadnie przy łańcuchach, oddzielających chodniki od ulic zbiegających się w kształcie rosyjskiej litery II. Stoją, rozmawiają, palą, patrzą. Patrzą, nade wszystko. Na tych, których dzisiaj stać na pójście do „młyna”. Na tych, co przechadzają się tam i z powrotem po ulicy — deptaku, pojedynczo i parami. Na tych, co pchają wózki z dziećmi. Na samochody, okna, drzwi, na gwiazdy.

Stoją tak do późnej nocy, do czasu, kiedy już „młyn” rozkręci się na dobre; kiedy znikają z ulic obiekty godne obserwowania, wtedy dopiero ulice pustoszeją. Miasto nocą jest jak wymarłe. Zimne światła neonów, puste chodniki, ciemne okna. Tylko „młyn” szumi do pierwszej, drugiej, a wtrąca mu w niektóre dni tygodnia inne lokale z dancierkami. Bywały „młyna” i tych co — drugi — dzień — dancierów wypełniają na krótko pustkę ulic chwiejnymi sylwetkami, okrzykami, targowaniem się i szarpaniną. Potem już jest spokój aż do świtu, kiedy ruszą pierwsze autobusy.

Jest więc w tym mieście czekanie zakorzenione — na pracę, na zamążpójście posażne i utytułowane, na wygraną na loterii życia. Dobra, intratna praca jest w wysokim szacunku, każda „nie brudząca” praca ma swoją cenę. Z tego miasta co roku rekrutują się spore ilości kandydatów na krakowskie uczelnie, nie dla wszystkich jednak starcza miejsc. Studium Nauuczycielskie zawsze ma komplety zgłoszeń. Obsadzone ciasno są szkoły położnych i pielęgniarek. Dla innych pozostają jeszcze ogólnie dostępne szkoły wojskowe — akademie, i te zwykle, oficerskie. Cóż, kiedy wybiera się to w ostateczności — wiadomo, mit oficera wyblakł w porównaniu z dawniejszymi laty, powszechnie wiadomo, że teraz to jest taka sama żmudna i trudna praca, jak inne, a i zarobki nie najlepsze. Do tych szkół idą ci, którzy nie mają warunków na inne studia — rzecz w tym, że wojsko zapewnia wyżywienie, mieszkanie i opierunek.

Dla wszystkich chętnych miejsca w szkołach brakuje. Stąd się biorą nasi Rycerze i Panny Wodne. Hołubione przez rodziny, czekające na laskawszy los. Nie jest ich wielu, jednak wystarczająco dużo, aby ich dostrzegać. Aby dawał znać o sobie. W młodości czekanie jest jeszcze niecierpliwe, ręce szukają zajęcia, umysły, pozostawione odłogiem jałowiają, ciało domaga się swoich naturalnych praw. Toteż wieczorami uczęszczane są forty, park i cmentarz żydowski, opustoszały i rozległy, porośnięty krzewami. Trafiają się bójki i inne rzeczy. Czekanie jest nużące. Czekanie — na co?

Pierwszy sekretarz komitetu partyjnego tego miasta, w artykule opublikowanym w gazecie wojewódzkiej, wyraził swoje poglądy na temat problemów związanych ze spodziewanym miejscowym wyżem demograficznym. Pisał o możliwościach zatrudnienia w istniejących już zakładach, o perspektywach wzrostu ilości miejsc pracy. Ton tego artykułu, pełnego z troskami o lesy młodych tego miasta, był mimo wszystko optymistyczny. Partia, organizacja społeczne zrobia, co będą mogły, by dać zatrudnienie wszystkim wkraczającym w życie. Ale trzeba, aby młodzi wybrali się pogardy dla „brudnych” prac, aby od nich nie uciekali. Trzeba, by nauczyli się szacunku dla każdej pracy. A z tym, czyli z dojrzałością, z przygotowaniem do — nie będącego przecież sielanką — życia, pomimo dyplomów dojrzałości — różnie bywa.

Na przykład Barbara. Po ukończeniu szkoły czekała, doczekała się. Męża, z Polski, z dyplomem medycznym. Zakochał się, ożenił. Idylla trwała krótko. Barbara, przyzwyczajona do życia łatwego i urozmaitego, zaczęła je kontynuować w środowisku męża. Mąż, rzecz jasna, nie był tym zachwycony. Upominał żonę raz i drugi, zrobił awanturę. Nie pomogło. Po paru miesiącach Barbara wróciła do miasta, do mamy, jako rozwódka. Ale matka nie chciała córki — rozwódki na oczy widzieć. Potem to już poszło dość przedko. Najpierw kawiarnia, potem i „młyn”, potem już tylko „młyn”. Sypanie w piwnicach, kiedy klienta z mieszkaniem zabrakło. Podobnie było z innymi.

Owo urozmaicone czekanie na gwiazdkę z nieba tworzy więc, jak widzimy, pewne nawyki, kształtuje ułatwiony, adapterowy model życia, nie wytrzyma-

(Dokończenie na str. 15)

\*) W gwarze więzienniczej — wieże strażnicze.



# TEATR W PIĘCIU UTWORACH

ALEKSANDER  
GABRUSIEWICZ

W DNIACH 27—29 września odbyła się w Częstochowie sesja wyjazdowa Klubu Krytyki Teatralnej SDP. W ciągu trzech dni pokazano pięć przedstawień, w tym cztery współczesne sztuki polskie. Ten zestaw, a także fakt, iż jednocześnie odbyła się prapremiera jednego z przedstawień — mianowicie „Ludzi w mundurach” Zdzisława Skowrońskiego — nadały sesji bardzo odświeżający charakter. Tak więc stała się ona jak gdyby małym festiwalem polskich sztuk współczesnych, a także retrospektywnym przeglądem działalności Teatru im. A. Mickiewicza w Częstochowie.

O teatrze tym i jego dyrektorze, Auguste Kowalczyku, było ostatnio głośno w kołach teatralnych i „zbliżonych do teatru”. Powodem rozgłosu „powiatowego teatru” było ciekawe, acz nieco ryzykowne założenie ogólne: lansowanie polskiej dramaturgii współczesnej. I to nie tej popularnej już, czy anonsowanej przez „Dialog”. Konsekwencją takiej polityki, prowadzonej od dwóch sezonów, jest współpraca z kilkoma literatami, no i liczba premier i prapremier. Liczba imponująca nawet dla teatru działającego w większym środowisku kulturalnym. Ze jednak pewne ryzyko z tym się wiąże — o tym za chwilę.

Powiedzieliśmy na wstępie, że oglądaliśmy cztery sztuki polskie, jednak na dobrą sprawę można uznać, że było ich pięć, bo krotkoczasowa Izabela Szoka „Stworzenie świata”, acz dzieckiemu autorowi, nie tyle przełożona, co spolszczona (nb. doskonale) przez Witolda Dąbrowskiego, może uchodzić za utwór polski. Bawiliśmy się świetnie śledząc perypetie pierwszych rodziców, ich pierwszych scen małżeńskich i zatargów z Kierownictwem (effelowski Pan Bóg + Aniołowie A, B, C, D) na skutek zakazanej konsumpcji i w konsekwencji dumnego opuszczenia Raju. Zupełnie nie wymuszony śmiech wywoływały zatargi w łonie „niebieskich sfer rządzących” i zepchnięcie w otchłanie piekielne nieubordynowanego Anioła D. Cała historyjka podana została z podziwu godnym taktem (Częstochowa!), a zasługa to równie reżysera — Lucyny Tychowej, jak i zespołu aktorskiego z Barbarą Bargielowską i Ryszardem Nadrowskim w roli rodziców na czele. Zasługa też niemała świetnej, utrzymanej w stylu rysunków Jean Effela, scenografii Danuty i Szymona Kobylskich, sutedej oprawy muzycznej Piotra Figiela i tanecznej Jagienki Zychówny. Zabawa jest tak dobra, że aż dziw, że inne teatry nie wpadły dotąd na trop tej sztuki.

Drugą z kolei (nie chronologicznie, lecz ze względu na jakość) sztuką w częstochowskim przeglądzie była „Medea” Jana Parandowskiego. Medea czytaliśmy w „Dialogu”, a inscenizację częstochowską oglądaliśmy niedawno w telewizyjnym festiwalu teatralnym. Jest więc ona na tyle popularna, że można sobie darować szczegółowe omówienie. Trzeba tylko nadmienić, iż na żywo spektakl nie stracił, wręcz przeciwnie, raczej wiele zyskał. Pełniej zagrała scenografia Zofii Góralczyk (przejaskrawiona tylko nieco w kostiumie Medei), czytelniejsze były spiecia Medea — Jazon (Krystyna Wodnicka — August Kowalczyk), wyraźniejszy dziewczęcy urok Kreuzy (Barbara Bargielowska), pełni najszlachetniejszych wzruszeń artystycznych opuszczali obserwatorzy widownię po przedstawieniu „Medei”, wdzięczni za to przedstawienie reżyserowi A. Stokowskiemu i pozostałym wykonawcom spektaklu, podziwiając zaskakującą żywotność tematów mitologicznych tak sugestywnie ukazanych przez Parandowskiego.

„Garsć piasku” Jerzego Przędzkiego odbiegła nieco poziomem od tych dwóch świetnych przedstawień. Autor zalicza się do stałych współpracowników częstochowskiego teatru i jego „Garsć” (pisana specjalnie dla tej sceny), poza Białymstokiem, chyba nie była nigdzie wystawiana. Należy się zatem złożyć kilka słów. Bohaterem utworu jest były sportowiec mieszkający w małej nadmorskiej dziurze, którego postawa życiowa na skutek niepowodzeń sportowych sprowadza



„Medea” Jana Parandowskiego w Teatrze im. A. Mickiewicza w Częstochowie. Na zdjęciu: Krystyna Wodnicka (Medea) i August Kowalczyk (Jazon)

się do realiów — „chata”, „cizła”, „szkło”. Ślizgając się tak po powierzchni nie dostrzega miłośnicy wartościowej dziewczyny — Anki. Geza — tak bowiem zwie się ów bohater — ma swoją idee fixe, wierzy, że napisze kiedyś powieść autobiograficzną, która zdemaskuje małomiasteczkowe środowisko i mechanizm jego życiowych niepowodzeń.

Utwór, mimo prawdopodobieństwa konfliktów i pogłębienia psychologicznego osób działających, w gruncie rzeczy operuje półprawdami, gdyby zechcieć skonfrontować go z rzeczywistością; a rzecz przeciw potraktowana jest w konwencji realistycznej. Po prostu brak tam głębszego oddechu,

by móc wyjść poza ramki kameralnej peryferyjności. Ale dzięki aktorom, dość dobremu, mimo pewne dłuży, tempu — sztuka „ogłada się” — że użyję „przekrojowej” terminologii. Trudno tylko uwierzyć w samo zakończenie, gdy Geza zabiera się jednak do pisania.

Ostatnie dwie pozycje sceny częstochowskiej zaliczyć trzeba do niewypałów.

Od tak doświadczonego dramaturga, jakim jest Zdzisław Skowroński, oczekiwać można rzetelnego utworu, niż wyraźnie na zamówienie społeczne napisani „Ludzie w mundurach”. Sztuka składa się z luźnych obrazków z ostatnich lat wojny, połączonych



GDY otworzono w 1880 r. dawne zdrojowisko funkcjonujące od 1818 do 1830 r., nowe zarządzenie zakładu zaczęły ściągac kuracjuszy do kąpieliska, posiadającego takie warunki, że warszawska publiczność, nawet ta grymasna, mogła spędzić bez troski lato w estetycznym otoczeniu „u wód”. Szybko nowo odkryty Nałęczów zyskał powodzenie i frekwencję.

Szumiały gościom wonne, stare lipy Małachowskich, cieszły oczy barwne kwiatniki, cisza, spokój towarzyszyły powolnym długim spacerom eleganczyńskich dam w śmiesznych tiurniurach i panów w brązowych i szarych tużurkach i surdutach. Obsiadano oclenione ławki, czytano „Warszawski Kurier”, plotkowano, politykowano, sumienie odbywano przepisana kurację hydroapatyczną i kumysową. Tańczono na ulubionych cotygodniowych reünionach.

A wieczory? Właśnie!... Nowa, dla teatru jeszcze nie eksploatowana miejscowość rychło wzwyżli przedsiębiorczy dyrektorzy teatralni. Zaczęli oni ostrożnie sondować i badać koniunkturę dla swych imprez, licząc na uzyskanie nowej letniej placówki. Kapryśna warszawska publiczność z nudów odważała się oglądać nieznanne sobie prowincjonalne zespoły, czy zespołiki, z uśmiechem pobłażania patrzyła na afisze ogłaszające częste sztuki i sztuczki o przedziwnych tytułach...

Patrząc z perspektywy na okres spektakli dawanych w Nałęczowie z końcem ubiegłego wieku widzimy spo-

radyczne wypadki występów teatru lubelskiego ze sztukami z bieżącego repertuaru, oraz krótkie pobyty, a nawet dłuższe, kilkuosobowych grup jeżdżących po małych miastach i miasteczkach. Jakby pewne prawa monopolu do Nałęczowa objął Karol Hoffman, zapalony do sceny, dobrze znany na ziemi lubelskiej aktor, reżyser, kierownik teatrów i autor dramatyczny, dbający w miarę możliwości o przyzwoity poziom repertuaru. Przeważnie były to mikrogrupy, gdyż w organizacji działowego towarzystwa spekulował tak, by dawać małoobsadowe sztuki.

W oficynie starego pałacu powstała sala gimnastyczna i teatralna ze sceną. Pierwszym odważnym antreprenierem był dyrektor teatru lubelskiego Anastazy Trapszo, który 2.VIII.1881 r. dał tu składany wieczór wystawiając: „Pomyłkę” („U tancerki”) A. Maniera i E. Martina — komedię jednoaktową oraz „Jestem zabójcą”, krotkoczwilę w 1 akcie Al. Fredry. Ten wieczór przyniósł 100 rubli, lecz gdy na ogłoszonego 3.VIII „Tymoteusza i Jafeta”, komedię w 2 aktach, nikt nie zjawił się na widowni, Trapszo odwołał przedstawienie i zrażony tym więcej się nie pokazał.

Następnie próbowali szczęścia w Nałęczowie dyrektorzy teatru lubelskiego Józef Nowakowski i Aleksander Myszkowski, oni to w 1883 r. w lipcu i sierpniu dali 9 przedstawień, w każdą środę, wedle umowy z Zarządem Nałęczowa, od 23.VII \*) — w sali pałacowej.

\*) „Gazeta Lubelska” 1883 nr 142, 6.VII.

współczesnymi interludiami oraz natarotką — czarodziejką od czasu do czasu wywołującą duchy. Realizatorzy przedstawienia chcieli nam zapląkać maksimum materiału kronikarskiego i realiów współczesnych w różnych nastrojach, konwencjach, gierkach. A więc trochę lekki, humoru, batalistyki i publicystyki. W sumie — nie wyszło.

Nie wyszło również przedstawienie autorów Kawałca i Smolewskiego pt. „Akt oskarżenia”.

Akcja utworu opiera się na wątkach powieści Kawałca „W słońcu” i „Ziemie przypisany”, a więc sprawach wł. Podane są one dwuplanowo: poprzez retrospekcję prokuratora analizującego sprawę dwukrotnego mordercy i poprzez samych zainteresowanych — rodzinę Trapów. Dodatkowo, niczym chóry greckie, pojawiają się komentatorzy w osobach z tła. Całość jest statyczna, bez akcji, tak że trudno wysiedzieć i nawet tak dobry aktor, jak Tadeusz Schmidt w roli głównej, nie mógł nie porazić. Sprawy udane w powieści — konflikty, język, nie chciały się zaadaptować na scenie.

W przedstawionych nam pięciu utworach jak w soczewce skupia się obraz całego teatru w Częstochowie. I mimo jednakowej dbałości teatru o wszystkie te pozycje, starannej ich realizacji, nie wszystkie wypadły zadowalająco. Wydaje się, że tu dochodzimy do sedna sprawy (o czym mowa była na wstępie) — do ryzyka związanek z jednokierunkowością teatru nastawionego na polski dramat współczesny. Ryzyko to polega głównie na trudności wyboru i braku sprawdzianu scenicznego dla większości z wystawionych utworów. Drugi minus tego przedsięwzięcia — to nieliczenie się z publicznością, jej przyzwyczajeniami i zainteresowaniami. Przypomnijmy — 180 tysięcy mieszkańców i jeden teatr. Toteż głosy o teatrze są w mieście różne — od zachwytów (nie nazbyt ich wiele) do potępienia. Za jednostronność, monotonię, a nawet trudności w percepcji. (I)

W związku z tym radykalna dotąd polityka dyrektora Kowalczyka ulega ma w bieżącym sezonie złagodzeniu. I tak wprowadzone do planu zostaną sztuki autorów obcych, a także klasyka polska (m. in. „Szkoda wąsów” — Dmuszewskiego i „Śluby pańskie”).

Ogólny jednak obraz teatru im. A. Mickiewicza w Częstochowie, mimo potknięć czy niedostatków, skłaniać musi do szacunku. Mówmy co chcemy, ale to jednak jest własne oblicze. Rzecz (nie tylko w teatrze) cenna.

Sezon w lecie 1883 obfitował w liczne atrakcje, jak: koncert pani Leżyczynskiej (śpiew) i pani Mrowińskiej (fortepian). — drugi koncert prof. Konserwatorium Warszawskiego Schloetza (4.VIII), Jana i Kazimierza Kleczyńskich (5.VIII). Przygotowano w gronie kuracjuszy amatorskie przedstawienie, dwie jednoaktówki: „Kwiat Temceun” E. Legouvé i P. Merimé, oraz „Po ślubie” („Szał wspomnień”) E. Moreau.

Następnie w 1885 r. dyr. Jan Zolopiński przywiózł tu 23.VIII „Postępowe swaty”, krotkoczwilę, W. P. Koziebrodzkiego (w zespole byli: Kamilla Boretti, Karolina Felińska, Józef Cybulski — ojciec zmarłego niedawno Maksymiliana Cybulskiego, dyrektora lubelskiego teatru im. Osterwy — poza tym Felicjan Feliński, Karol Hoffman, Józef Głodowski, Czesław Janowski).

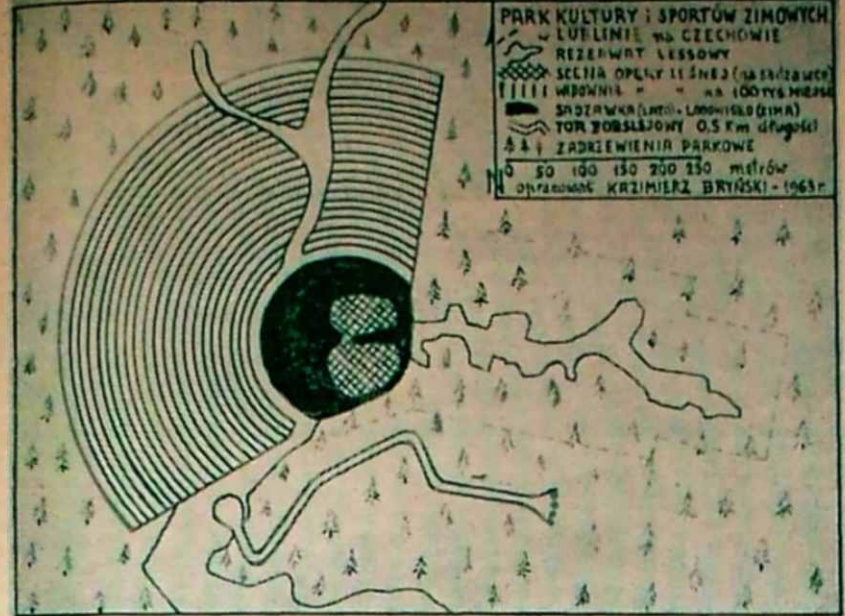
W tym samym sezonie, 19.VIII zjawił się tu K. Hoffman z malutkim zespołem, dając wieczór składany z komedii i monologu. Następnie w 1886 r. dyr. Maurycy Kisielnicki z Lublina, w lipcu i sierpniu, zorganizował 8 objazdów z komediami jednoaktowymi, dając też sztuki pełnospektaklowe, jak: „Oddajcie mi żonę” A. Abrahamowicza, „Wicek i Wacek” Z. Przybylskiego, „Szach i mat” J. Blizińskiego.

W 1887 r. Karol Hoffman objął tu imprezę na 4 wieczory, dając sam deklamacyjno-dramatyczne przedstawienie oraz w wykonaniu kilku osób repertuar składany (byli w zespole Bronisław i Marcela Sycińscy, pani Wolska, Miron).

W 1893 r. w objęzdzie zawiadziła tu 22.VII Adolfina Zimajer, popularna i podziwiana w całej Europie wodewilistka, w towarzystwie córki Heleny i Wincentego Rapackiego. Goście oklaskiwali ją tu w słynnym „Kocim duecie” z „Nitouche” w „Córce Tambourmajora” Offenbacha, w „Figlach Chochlika”, czarodziejskiej operetce J. Zayta.

(Dokończenie na str. 14)





# „OPERA LEŚNA”, PARK I SPORTY ZIMOWE

KAZIMIERZ BRYŃSKI

**P** OŁOŻONE w północnej części miasta wąwozy Czechowa zostały jako obszar państwowy. Obszar ten jest stałym źródłem nanoszących na miasto pyłów lessowych. Nie tylko pozbawiony jest drzew i krzewów, ale nawet mizerne płaty traw są wypasane przez bydło. Jest rzeczą niedopuszczalną, by tak duży obszar, który ostatnio znalazł się prawie w centrum miasta, pełnił nadal funkcje wybitnie sprzeczne z istotnym życiem tak dużego już Lublina, a w dodatku stanowił stałe źródło szkodliwego (choć nie zawsze dobrze dostrzegalnego) zanieczyszczenia atmosfery. W niedalekim sąsiedztwie czynny już jest duży zespół Szpitala Miejskiego i klinik Akademii Medycznej.

Administratorzy tego terenu rozumieją te kłopoty i gotowi są przekazać go miastu, gdy otrzymają odpowiedni dla swych celów inny teren.

Szerokość kilkuset metrów, długość około 2 km, przebieganie przez środkową partię długiego wąwozu z kilkoma odgałęzieniami, predysponują ten obszar do utworzenia w nim jednego z najpiękniejszych w Polsce parków. Mankament poważny, to brak bieżącej, naturalnej wody. Za to jeden z jarów bocznych ma pięknie rzeźbione ścianki lessowe. Warto tu urządzić mały, kilkhektarowy rezerwał skalny. Byłby on częścią tego stałe dostępnego parku. Park miałby wspinać walory w lecie i byłby pożyteczny także w zimie. W lecie — dno wąwozu pokryte dywanowym kwiatkiem mogłoby dawać patrykiem ze stoków nieprzemijające wrażenia piękna. Stoki zaś, odpowiednio obsadzone grupami kwitnących krzewów, drzew piramidalnych itp., stanowiłyby piękny widok dla patrzących z doliny, lub z innych stoków.

W zimie mogłoby tu być czynny tor bobslejowy (saneczkowy) długości pół kilometra, dla dorosłych i młodzieży oraz jednohektarowy tor łyżwiarski. Tor bobslejowy dałby się łatwo, szybko i tanio zbudować. Można by też przystosować teren narciarski dla dzieci. Dla lublinian, którym w zimie brak możliwości szerszego wyżycia się sportowego, byłyby te inwestycje wybitnie pożyteczne.

Na tym terenie dałoby się też rozwiązać pilną potrzebę dużego amfiteatru na wolnym powietrzu („opery leśnej”). Brak odpowiednio dużego miejsca nie pozwala na sprowadzanie większych zespołów zagranicznych, stojących na wysokim poziomie, gdyż koszty ich sprowadzenia oraz honoraria nie mieszczą się w możliwościach finansowych wydziałów kultury. Amfiteatr na wolnym powietrzu, który na Czechowie można zbudować na sto tysięcy miejsc siedzących, umożliwiłby każdą taką imprezę nawet przy niskich, kilkuzłotowych opłatach wstępu. Skorzystałoby na tym nie tylko nasze społeczeństwo, mogące bezpośrednio usłyszeć światowej sławy

śpiewaków, doskonale chóry, zobaczyć duże zespoły taneczne, przeżywać w odpowiednim nastroju wspaniałe opery itd., ale skorzystałby też i nasze szerokie zawodowe sfery artystyczne, gdyż mając możliwości porównawcze, mogłyby polepszać swoje osiągnięcia.

Tutaj można by też urządzić duży ekran i wyświetlać duże obrazy filmów dydaktycznych, naukowych, krajoznawczych itp. bezpłatnie dla dużej ilości widzów.

Dogodne z wielu względów miejsce na budowę takiego amfiteatru, m. in. ze względu na kierunek promieni słonecznych (co jest ważne przy spektaklach dziennych) znajduje się w dalszej partii wąwozu na zachodnim stoku, tj. eksponowanym ku wschodowi, oraz na północnym, tj. eksponowanym ku południowi. Partia ta leży naprzeciw ujścia urzeźbionego jaru wschodniego. Przy niewielkich przedmieszczeniach mas ziemnych (materiał miękki) można by zbudować tu widownię ze stu kilkudziesięciu kamiennych, półkolistych, współśrodkowych stopni, zaś partię u wylotu urzeźbionego jaru lessowego przystosować na dużą scenę. Ponad ujściem jaru przerzucić mostek i włączyć go do sceny. Zaplecze naturalne sceny (wąski jar, obsadzony na wierzchołku sosnami, srebrnymi świerkami, tujami i cyprysami) stanowiłoby naturalną scenografię, dającą się związać jako tło do oper leśnych itp. spektakli (np. „Halka” Moniuszki).

Między sceną a widownią rozpościerałaby się płytka sadzawka (o powierzchni ok. hektara). Woda odbijałaby dobrze głosy ze sceny ku widowni, zaś w zimie ta płytka sadzawka spełniałaby rolę toru łyżwiarskiego.

Kamienne tarasy widowni, silnie nasłoneczniane, umożliwiłyby już od wczesnej wiosny korzystanie ze słońca.

Scenę i jej zaplecze stonowane z terenem można by zbudować stosunkowo tanio. Także kilka stopni — teras dla widzów. Pierwsze spektakle dałaby fundusze na dalszą rozbudowę widowni. Po kilkunastu latach Lublin będzie dysponował amfiteatrem na sto tysięcy miejsc siedzących. Na tor łyżwiarski i tor bobslejowy niewątpliwie znajdą fundusze MKKFIT oraz WKKFIT.

Kilka miejsc na podobny, choć dużo mniejszy, amfiteatr, w poprzednich okresach rozpatrywanych, nie zadowala w pełni. Teren między ulicą Podgrodzie i Dąbrowskiego leży stosunkowo blisko arterii o silnym ruchu i pomieściłby zaledwie dwadzieścia tysięcy miejsc siedzących. Omawiana część wąwozu czechowskiego, wobec silnej rozbudowy tej dzielnicy, nie byłaby obludziem, a jednak posiadałaby naturalne warunki dla takiego amfiteatru: przyrodę, ciszę, sąsiedztwo parku i pobliskiej głównej arterii miejskiej, więc bezpieczeństwo i łatwość rozładowania dużych mas ludzkich po spektaklach.

W efekcie Lublin zyska w swej północnej, pozbawionej trwałej zieleni,

(Dokończenie ze str. 1)

ków ze światem zewnętrznym. Pamiętać przy tym należy, że katolicy — w odróżnieniu od Watykanu, który jest samodzielnym państwem — nie stanowią przeciwieństwa, zamkniętej i odgraniczonej enklawy, lecz są przemieszani z wyznawcami innych religii (lub z ludźmi nie wyznającymi żadnej), że z tytułu swojej różnorodnej przynależności państwowej związani są materialnie i emocjonalnie z różnymi ustrojami społecznymi, że więc wszędzie, gdzie się znajdują, podlegają współczesnym prądom i ideom — ekonomicznym, socjalnym, kulturalnym — obiegającym świat i w tym świecie się krzyżującym. Są przecież, mówiąc po prostu, kraje, gdzie katolicy razem z ateistami występują przeciwko porządkom kapitalistycznym, są i takie, gdzie katolicy wspólnie z ateistami budują i rozwijają system socjalistyczny. Tendencja do unowocześnień i uwspółcześnienia Kościoła w obu wymienionych wyżej zakresach, próba dostosowania go do zmienionych i nadal zmieniających się warunków zewnętrznych została podjęta w celu utrzymania — co najmniej — jego pozycji. I tu — wybór metod działania nie mógł nie wywołać dyskusji. I nie mógł nie podzielić hierarchii kościelnej na dwa — co najmniej — obozy. Co najmniej na dwa, gdyż obok obozu konserwy i obozu zwolenników reform musiał, siłą rzeczy, ukształtować się odłam centrystów, umiarkowanych, czy jak ich tam jeszcze nazwać. W zakresie stosunków wewnętrznych takim nabrzmiałym problemem — obok kwestii religijno-dogmatycznych — jest struktura organizacyjna i funkcjonowanie samej instytucji Kościoła. Pisał np. teolog francuski, dominikanin Congar, konsultor Teologicznej Komisji Soborowej: „Ludzie czują się nieszczerliwi, gdy nie mogą się wypowiedzieć. I w rzeczywistości wypowiadają się, ale gdzie? — w kręgu swoich rodzin, w chwilach odprężenia i rozrywki, przy pracy — a nie w kościele”. Dalej Congar dowodził, iż przyczyną tego stanu rzeczy jest „pompa, która otacza i więzi razem biskupów i kardynałów, którzy praktycznie nie mają nigdy sposobności spotkania się ze świeckimi tak, by ci mogli swobodnie wypowiedzieć się”. Wreszcie Congar ubolewa, iż z tego powodu „członkowie wyższej hierarchii natrafiają zwykle na sytuację raczej sztucznie niż realnie”. Przytoczona wypowiedź stanowi zaledwie próbkę kontrowersyjności poglądów, bo w rzeczy samej niejednołitość poglądów, konserwatyzm i reformizm, albo jeszcze dobitniej: konserwatyzm i rewizjonizm — towarzyszyły obradom soborowym od samego ich początku. I do samego końca III sesji. Trwał przy starym, czy unowocześnić? — to pytanie z reguły dzieliło ojców soboru na owe dwa (co najmniej) obozy. Ze szczególną ostrością podział ten wystąpił przy omawianiu trzech dokumentów mających służyć ujściu całokształtu stosunków ze światem zewnętrznym i określeniu stanowiska wobec problemów współczesności. Mówił np. na temat deklaracji „O wolności religii” kardynał Lege z Kanady: „Dokument odpowiada współczesnym potrzebom Kościoła. Powinno się wykazać, że wolność (tj. tolerancja — dop. red.) w dziedzinie religijnej obowiązuje wszystkich — chrześcijan i niechrześcijan, wierzących i niewierzących, to jest także ateistów”. Ale nie wszyscy tak się w dyskusji wypowiedzieli. Były głosy, które formułę tę traktowały jednostronnie i żądały od państwa socjalistycznego (jako że tam problem ten najczęściej występuje) tolerancji wobec Kościoła, zapominając o obowiązku tolerancji ze strony Kościoła wobec innych wyznań i światopoglądów. Do dramatycznych śpiew dochodziło również w auli soborowej w czasie dyskusji nad deklaracją „O stosunku katolików do niechrześcijan”, czego wynikiem było choćby samo

\* Przytoczone w książce St. Markiewicza „Jan XXIII wobec problemów współczesności” str. 227.

# O uwspółcześnienie katolicyzmu

przemianowanie tego dokumentu, którego tytuł pierwotny brzmiał „O stosunku katolików do Żydów i innych niechrześcijan” (chodziło o potępienie nienawiści i prześladowań w stosunku do Żydów zarówno w przeszłości, jak i w naszych czasach), a które to przemianowanie służyło ma rozwodnieniu intencji autorów dokumentu. No i wreszcie kontrowersje, bardzo ostre, jakie wywołał tzw. schemat XIII, do kument zdecydowanie nowatorski, jeśli mieć na uwadze wersję, w jakiej został przez autorów przedstawiony ojcom soboru do dyskusji. Ale droga od dokumentu-projektu do dokumentu-uchwały prowadziła przez dyskusję, poprzez rozmaite próby interpretacji projektu, i tak też było na III sesji. Nie zapominałmy zresztą, że i sam projekt schematu XIII, nowatorski już przez to, że skatalogował szereg najważniejszych problemów współczesności, wynikających — najogólniej rzecz biorąc — z faktu podzielenia się świata na socjalistyczny, kapitalistyczny i tzw. świat trzeci — że sam już projekt tego schematu, wskutek zawartych w nim uwarunkowań, zapewnień i kompromisowości, niejako zaprasza do rozmaitego interpretowania go.

W efekcie — długie i ostre dyskusje, próby nacisków ze strony konserwy i próby reformistów szukania obrony przed tymi naciskami przez zwieranie swych szeregów i przedstawianie papieżowi „listów protestacyjnych”. W efekcie — konserwa okazała się dostatecznie silna, aby nie dopuścić do uchwalenia trzech dokumentów — projektów, ale zbyt słaba, aby przeferować je „na obraz i podobieństwo swoje”. W efekcie — obóz reformistyczny okazał się zbyt słaby na to, aby móc intencją swoim nadać moc obowiązującej uchwały, ale dostatecznie silny, aby przeszkodzić konserwatom w ich próbie zniekształcenia samego zamyśłu soborowego, który w założeniu swoim przecież stanowił postępowy w stosunku do obowiązujących dotychczas reguł postępowania i polityki Kościoła katolickiego. W ostatecznym więc efekcie — zgoda na zwolnienie sesji IV, na której dojdzie do głosowania zarówno nad nową wersją schematu XIII (uwzględniającą dyskusję na III sesji), jak i nad deklaracjami „O wolności religii” i „O stosunku katolików do niechrześcijan”. Przygotowaniem dokumentów, które na IV sesji poddane zostaną głosowaniu, zajmie się w okresie międzysesyjnym kuria rzymska. Ale nie ulega wątpliwości, że w okresie tym ani obóz reformy, ani konserwa nie zaprzestaną swej aktywności. Rozgrywka (żeby nie użyć brutalnego słowa: walka) o uwspółcześnienie katolicyzmu trwa.

Piotr Milewski

## VIOLETTA SZORC Mój dom

brzuchata brama kołysze drzwi [zatroskane]  
o jeden zawias za mało  
a bronie starości trudno  
gdym grzyb się we mnie wgrzyza  
po każdą rysę muru i okno [nieszczelne]  
moje stropy wychodzone po drzazgi  
ja jestem  
kul tarczą byłem i lazaretem  
kupecem sklepików mniejszych  
[od szyldu i jatki końską  
bramo moja wspaniała, dachu gładki  
osłońcie gdy usypiał dzieci

\* \* \*  
i wracam z dna  
żyje się we mnie ukolysało  
wszystkie noce i dnie weszły w skraj [lasu]  
na szerokie łatwe przełęcze spokoju  
kiedy sen rozciąga horyzont  
a ciało ciepłe i syte  
gdy radość dotknie twarzy dziecka  
i letnie wieczory pachną  
ziolami kazimierskich wzgórz  
wtedy wracam z jaru  
gdzie króluje próchnica  
i zmierzch.



# KONCEPCJA UNIwersYTETU

(Dokończenie ze str. 4)

wym. Ale jest w pierwszym rzędzie szkołą i to masowego kształcenia. Nie mam potrzeby zastanawiania się nad tym, czy tak być powinno — bo tak jest w rzeczywistości i nikt nie przewiduje, żeby uniwersytet przestał być taką szkołą. Możemy więc ten stan rzeczy akceptować bez zastrzeżeń. Dostęp do tej szkoły nie może nie być otwarty szeroko, moim zdaniem dla każdego, kto uzyskał maturę, tj. dokument stwierdzający, że jest przygotowany do pobierania nauki w szkole wyższej. Wymaga tego poręczona konstytucyjnie „prawo do nauki”. Ukończenie uniwersytetu nie może i nie powinno poręczać zatrudnienia w zakresie „zawodu wyuczonego”. Państwo socjalistyczne nie jest w stanie dać takiego poręczenia ze względu na ograniczone planowo zapotrzebowanie kadrowe w pewnym zakresie gospodarki narodowej. I kandydat nie może żądać i zresztą nie żąda praktycznie takiego poręczenia. Ma „szlachetny snobizm” uzupełnienia średniego wykształcenia wykształceniem wyższym. Nie ma zresztą nic złego, ani nienaturalnego w tym, że geograf, czy nawet filozof znajdzie zatrudnienie na przykład w wydziale przemysłu, albo rolnictwa i leśnictwa rady narodowej. Jego ogólne wyższe wykształcenie w pewnym kierunku choć obcym zawodowi, który przyszło mu uprawiać, uczyni go na pewno, mimo zachodzącej sprzeczności, pracownikiem bardziej wartościowym, niż gdyby wyższego wykształcenia nie otrzymał. Wiem, że się powtarzam („Kamena”, nr 21 br.), ale zmusza mnie do tego tok niniejszej wypowiedzi. Czuję się obowiązany do przytoczenia odmiennego stanowiska Zenona Klemensiewicza. Jest on zwolennikiem selekcji kandydatów spośród maturzystów: „dobór studentów spośród kandydatów powinien być uwarunkowany zarówno pod względem ilościowym, jak i jakościowym... funkcją i rangą uniwersytetu, treścią i metodą jego kształcenia... Uniwersytet nie jest szkołą masowej produkcji. Limity określone przez władze nadzorcze będą oszczędne, a kryteria selekcyjne przy wstępie na uniwersytet i przy promocji z roku na rok wymagające i nieustępliwie”. Stanowisko to jest elitarne i anachroniczne, ponieważ nie odpowiada dzisiejszemu stanowi masowego wykształcenia w zakresie średnim, dzięki czemu maturzyści garną się do szkół wyższych. Sposób na zaspokojenie tego ich — przez państwo ludowe obudzonego — głodu musi się znaleźć. Sposobów jest wiele.

Właśnie dlatego, że uniwersytet łączy i powinien łączyć w ramach swej

organizacji szkołę z warsztatem naukowo-badawczym, nie może on mieć monopolu w zakresie kształcenia naukowców choćby w pewnych tylko kierunkach. Dzielę tę funkcję i nie ma powodu, żeby nie dzielił, z innymi organizacjami kształcenia naukowców — instytutami i zakładami PAN, instytutami resortowymi itp. Zle się natomiast dzieje, że kształcenie naukowców — rozumiejąc przez nich ludzi, którzy uzyskali już dyplom uniwersytecki i chcą zdobyć kwalifikację naukowca (zakładając, że mają ku temu faktyczne kwalifikacje) — nie ma w ramach uniwersytetu należytej organizacji. Przepisy o przewodach doktorskich i habilitacyjnych takiej organizacji nie stwarzają. Są to biurokratyczne procedury uzyskania „stopni naukowych”. Należy rozbudować uniwersytet jako szkołę kształcenia naukowców na bazie ukończenia szkoły wyższej i w ramach prowadzonego warsztatu badawczego.

Jako się rzekło, uniwersytet wykształcił się historycznie przede wszystkim jako szkoła masowego nauczania na poziomie wyższym średnim. To jest fakt dziejowy i koła historii nie da się zawrócić. Ten fakt nie jest zresztą przeszkodą do rozbudowywania uniwersytetu jednocześnie jako warsztatu naukowego. Odpowiada mi bardzo stanowisko Bogdana Suchodolskiego (referat na Seminarium z okazji XX-lecia UMCS pt. „Uniwersytet a procesy upowszechnienia kultury ogólnej”). Zaznacza on, że uniwersytetom nie udało się uzyskać monopolistycznego stanowiska w życiu naukowym i nie nie wskazuje na to, aby mogło się tak stać. Natomiast „liczba ludzi mających wykształcenie średnie... stała się większa niż liczba ludzi uzyskujących wykształcenie wyższe. Oznacza to, że istnieje dość liczna grupa ludzi — a liczebność jej będzie wzrastała w miarę postępów upowszechnienia wykształcenia średniego — których aspiracje intelektualne nie mogą już być zaspokajane przez instytucje oświatowe szczebla średniego, lecz wymagają zaspokojenia na szczeblu wyższym”. Bogdan Suchodolski uważa, że zadanie to w zakresie ogólnego wykształcenia wyższego mogą i powinny spełniać uniwersytety — i to nie tylko w zakresie szkolenia młodzieży, ale również w zakresie szkolenia ludzi starszych pragnących zdobyć wyższe wykształcenie niezależnie od wykonywanego zawodu.

Wypowiadane przez profesorów uniwersyteckich dezyderaty w zakresie „integracji zewnętrznej i wewnętrznej”, zgłaszane postulaty zniesienia „atomizacji” uniwersytetu na liczne

samodzielne jednostki nie mające ze sobą żadnej łączności (Grzegorz L. Seidler: „O dwóch niezbędnych integracjach”, „Nowe Drogi” nr 11 br.), projekty przekształcenia katedr w instytuty wchodzące w skład rad wydziałowych itp. — są słuszne, ale jedynie przy założeniu, że praca uniwersytetów jako warsztatów naukowych kształcących naukowców po uzyskaniu dyplomu wyższej szkoły zostanie w ramach uniwersytetu zorganizowana i rozbudowana odpowiednio do zadań, jakie ma spełnić.

Włodzimierz Hubicki w swoim referacie na wspomnianym wyżej seminarium zresztą pominał zaplanowany temat i poświęcił swoje wystąpienie takim sprawom „uniwersyteckim”, jak hazard i libacje w życiu akademickim,

nastrój „nudy, bezideowości i bierności” studentów i ich życia, marnotrawstwo czasu studenckiego, nieracjonalność nauczania i programów. Hubicki podniósł konieczność radykalnej zmiany w ustosunkowaniu czynników miarodajnych do życia studentów, nie cofa się przed sugerowaniem surowej dyscypliny studiów i życia studenckiego („nawet gdybyśmy ponęśli się do granic pobudki i capstrzyku”). Włodzimierz Hubickiemu należy się pełna abolicja z grzeszu „zerwania planu” i wysoka pochwała za odwagę, z jaką wyłączył się z orkiestry wykonującej bądź co bądź muzykę przyszłości. Sprawy, które podniósł, są na pewno najpilniejsze na dzień dzisiejszy.

Emanuel Iserzon

## SPOTKANIA LIRYCZNE

(Dokończenie ze str. 5)

upał, pachną sosnowe igły, a lilie wyprostowane, podbarwione różowo — roztaczają swój balladowy czar.

### III Rozmowa

W cieniściej alei spaceruje L. H. Morstin. Wieczór wycieniował drewniane ściany willi „Florence”. Weranda usnęła w ciszy. Z daleka szczykanie psów, donośne w czystym powietrzu. Z bliska — trzepot ptasi w rozkrzewionych gąszczach.

Księżyc świeci nad sosnami.

JA: Kończymy dziś te interesujące rozmowy, a więc nieodzwonne pytanie: nad czym Pan ostatnio pracuje?

L. H. MORSTIN: Właśnie ukończyłem dwie dawniej zaczęte sztuki. Jedną na zamówienie (10 lat temu, tak, tak). Wojska Polskiego. Tytuł? — „Wybrańcy pod Wiedniem”. Historyczna. Wywodząca z przeszłości naszej prototyp Wojska Ludowego. Reprezentuje je lud; — piechota wybrańcza. Chłopi z Pomorza, Góralszczyzna, Kaszubi, Mazury, Ślązaki — ze wszystkich dzielnic kraju. Złożyłem tę rzecz w Ministerstwie Kultury i Sztuki.

JA: Wspomniał Pan o drugim utworze.

L. H. MORSTIN: Ten także według dawnego pomysłu. Nazywa się „Straszne miasto”. Poruszam tu bardzo

aktualne zagadnienie: czy humanizm musi być w konflikcie z postępem technicznym? Co się ztraca, co się zyskuje? Spojrzenie na ten problem starszego pokolenia i młodzieży, a w całość wpłynęła sprawa dziejowa polskiej, która zrobiła karierę — za granicą. W dyrekcji jednego z teatrów porównywano „Straszne miasto” do dramatów Dürenmattowskich. Wydaje mi się to zupełnie niesłuszne, tym bardziej, że nim Dürenmatt objawił się w swej twórczości — mój pomysł „dojrzał” w tece.

JA: A czy z prozy ma Pan także coś „na warsztacie”?

L. H. MORSTIN: Od roku kończy się druk w „Czytelniku” złożonego zbioru esejów wspomnieniowych pt. „Opowieści o ludziach”. Natomiast rozszły się bardzo szybko poprzednie: „Moje przegrody teatralne” oraz „Spotkania z ludźmi”.

JA: Właśnie, szkoda, że nie ma następnych wydań tych książek. Zbięram utwory pamiętnikarskie, ale już nie dostałam w Lublinie. Jeszcze chciałam zapytać, czy Państwo stale mieszkają w Krakowie?

L. H. MORSTIN: Ależ nie. Od wielu lat mieszkaliśmy w Zakopanem, a teraz od pięciu lat w Warszawie, na Kanonii. Klimat zakopiański już nie dla nas.

Zapada cisza, dźwięcząca wieczorem. Ciemna alejka zasypia. W oknach domu zabłyśły światła. Blask ten oświetla tylko rząd balladowych lilii pod werandą. Na scenę ogrodową wchodzi noc na puszystych kocich łapach zmróku.

Helena Platta

## WIECZORY TEATRALNE W NAŁĘCZOWIE

(Dokończenie ze str. 12)

W 1895 r. znowu zawitał do Nałęczowa K. Hoffman dwukrotnie ze swoim skromnym zespołem.

W 1895 28.VI. dał wieczór składany w ogrodzie dyr. Al. Bucholtz, z zespołem, do którego wchodził: A. Brelowski, M. Winkler, F. Feliksiewicz, pani A. Bucholtz, A. Ledóchowska. Zmieniony repertuar grano I.VII.

W 1896 r. artyści dramatyczni z Krakowa: Stanisław Knake-Zawadzki, Władysław Roman i Władysław Ordyński, z paniami Antoniną Ogińską i Łęcką, po odegraniu w Lublinie dwóch przedstawień powtórzyli je w Nałęczowie 21.VII. Były to: „Broń niewieścia” R. Benedixa, „Dzieciaki” L. Świdorskiego, „Łapka na myszy” A. Rousseau, oraz 22.VII „Pan i pani” A. Dreyfussa, „Biała kamella” A. Listowskiego, „Na ulicy” Wł. Szymanowskiego, „Onufry” St. Dobrzańskiego i monolog „Niezdeterminowany”.

W 1902 r. zjawił się nowu jednorazowo K. Hoffman w grupie amatorskiej Towarzystwa Miłośników Sceny z Warszawy.

W tym roku powodzeniem cieszyły się koncerty. 24.VI występują: M. Wąsowska-Badowska (fortepian), Irena Trapszo-Chodowiecka (recytacje); w następnym wieczorze śpiewał Wiktor Grąbczewski z opery warszawskiej,

występowali: skrzypek Grabowski i pianista A. Elertowicz.

8.IX popularny adwokat warszawski i literat Kazimierz Korwin-Piotrowski (brat Gabrieli Zapolskiej) wygłosił w Nałęczowie odczyt pt. „O najogólniejszych ideałach życiowych według poglądów Bolesława Prusa”.

W 1906 r. Kółko Dramatyczne Handlowców w Warszawie, które często wyjeżdżało na prowincję ze swymi spektaklami, grało 11.II dwa razy (przed południem i wieczorem) „Przełom”, sztukę w 3 aktach Konrada Krzyżanowskiego.

A w 1907 r. K. Hoffman, inicjator i założyciel prosperującego w Warszawie „Polskiego Towarzystwa Dramatycznego”, przywiózł tu ten zespół amatorów i objął teatr na sezon od 24.VI do 3.VIII. Zjawiły się tu pozycje: „Barbara Zapolska” L. A. Dmuszewskiego, ku uczeniu Elizy Orzeszkowej — jej utwory „Pieśń przzerwana”, „Gedali”. Poza tym „Pan Pasek” A. Belcikowskiego, „Marsowy kawaler” J. Bilińskiego, „Niedźwiedź” A. Cechowa, „Powrót” M. Konopnickiej, „Rozdziewięki życiowe” K. Hoffmana, „Odlutki i poeta” A. Fredry, „Fatalista” T. Jaroszyńskiego.

Repertuar, który tu się zjawiał na afiszach, był rozrywkowy, jaki tradycyjnie dawano na letniskach, często banalny, jednak trafiały się tu i dobre polskie komedie, nie tylko „Szlafrok zacząłowany” czy „Dwie laski, but i kapeluszy”, „40-letnie dziecko 25-letniego ojca”.

Różnie więc bywało, ale na pewno wybaczały widzowie i bardzo mieszany repertuar, i prymitywne dekoracje nałęczowskiej scenki Domu Zdrojowego.

Stanisław Dąbrowski

ZA POZWOLENIEM ZWIĘZIOWOŚCI

# TEATR Z LUBLINA.

Towarzystwo Artystów dramatycznych pod dyrekcją

## M. KISIELNICKIEGO.

W Srodę dnia 7-go Lipca 1896 roku.

### NA WĘDKĘ

Komedja w 1-m akcie przez A. Walenskiego.

Rohi, kopiec	—	—	—	p. Hoffman
Andela, jego żona	—	—	—	pana Burawka
Barbara	—	—	—	p. Kisielnicki
Helena	—	—	—	pana Tułowia
Katol, obłąpany Rohi	—	—	—	p. Ludowski

Scena w mieście

---

### PRZY KOLEI

Komedja w 1-m akcie, przez Jordana.

Janek Przybyłki, obłąpany siemak	—	—	—	p. Prziński
Andela, jego żona	—	—	—	pana Burawka
Barbara	—	—	—	pana Kisielnicki
Helena	—	—	—	p. Hoffman
Katol, obłąpany Rohi	—	—	—	p. Kisielnicki
—	—	—	—	pana Pałi

Scena w mieście

---

### „IL BACIO”

(POCALUNEK)

Komedja w 1-m akcie, przez Roseta.

Wald, bogacz	—	—	—	p. Kisielnicki
Barbara, jego żona	—	—	—	pana Burawka
Helena, jego córka	—	—	—	p. Kisielnicki
Katol, obłąpany Rohi	—	—	—	pana Burawka
—	—	—	—	p. Hoffman
—	—	—	—	p. Kisielnicki
—	—	—	—	pana Pałi
—	—	—	—	p. Kisielnicki

Scena w mieście

CERA MIEJSC

Początek o godzinie 8 wieczornem.



# Z HISTORII BUDOWY TEATRU LUBELSKIEGO

(Dokończenie ze str. 9)

rankiem budowniczego Mariana Jarzyńskiego, i prowadzono na tyle szybko, iż w końcu grudnia następnego roku widownia i scena były wykonane, a następnie teatr został otwarty 6 lutego 1896 r. W stosunku do projektu nie zrealizowana została część gmachu od ul. Kapucyńskiej, nadto w dniu otwarcia teatr nie był otykowany i jego elewacja frontowa nie była zwieńczona dekoracyjnymi frontonami po bokach. Pierwotnie przewidywane koszty budowy zostały przekroczone i wyniosły niemal 100 tys. rubli; na sumę tę składały się następujące wydatki:

kupno placu (2642 m<sup>2</sup>) — 3031 rb.  
konkurs, sporządzenia proj. — 2770 rb.  
przygotowanie placu budowy — 1258 rb.  
7059 rb.

właściciel budowa gmachu — 87604 rb.  
drobne wydatki, nadzór techn. — 5265 rb. 7)

Teatr został dość okazale wyposażony wewnątrz. Widownia mieściła dwieście krzeseł amerykańskiego systemu, ustawionych tak, iż dojścia do nich znajdowały się tylko z boków. Na środku sufitu urządzono wentylator i zawieszono wspaniałe żyrandol o czterdziestu płomieniach gazowych (kosztował 719 rubli). Malowidła sali wykonał malarz warszawski Feliks Teplicki, w medalionach na tle ciemnym znajdowały się postacie lub godła

sztuk pięknych. Parapety łóż ozdobione zostały sztukateriami, ściany pomalowano kolorem „pompejańskim czerwonym”.

Dużo miejsca we współczesnych opisach teatru poświęcono scenie. Urządzenie jej powierzono było St. Cyrankiewiczowi, mechanikowi warszawskiemu. Scena miała osiem planów, zaś w każdym z nich było po 4 kulisy ruchome; istniejąca maszyna pozwalała zmiąć 12 kulis w 8 sekund. W podłożu sceny urządzono 5 szuflad (otworów trapowych). Nie pominięto również drobniejszych szczegółów wyposażenia scenicznego, jak: „deszcz, grzmot, wiatr, odgłos dzwonów w oddali”. Dekoracje, wykonane efektywnie i „ze znajomością przedmiotu” przez Naramowskiego i Sandeckiego, przedstawiały: salon w stylu włoskiego renesansu „poważnego charakteru”, wnętrze lasu z trzema przeczeciami, pejzaż morski z odpowiednimi przystawkami, krajobraz swojski (wolna okolica), widok miasta buduar renesansowy z przystawkami, z „papier-maché”.

Program uroczystości inauguracyjnej w dniu 6 lutego przedstawiał się następująco. Na początek orkiestra pod batutą Sonnefelda odegrała marsza powitalnego i piękną kantatę Kurpińskiego, potem przemówił dyrektor teatru Józef Puchniewski. Następnie odegrał komedię Al. Fredry „Nikt mnie nie zna” oraz pierwszy akt „Halki”. W czasie antrakty orkiestra wykonała między innymi polonez jubileuszowy lublinianina Konrada Staczyńskiego oraz mazura skomponowanego przez architekta gmachu Karola Kozłowskiego).

Na zaproszenie komitetu budowy na inaugurację przybyli z Warszawy dziennikarze i im to zawdzięczamy szereg interesujących uwag o teatrze.

„Zauważyliśmy — pisze jeden z nich — że publiczność lubelska niczem nie różni się od warszawskiej; strojna, elegancka, spóźniła się na widowisko... wszystko jak u nas!”). Na zakończenie tych uwag czytamy: „Teraz idzie o to tylko, by w tym przybytku zamieszkało prawdziwie piękno, aby się on nie stał gniazdem złego smaku, scenicznego rozpusty, rozkładania pojęć i instynktów... Bierzże ją (scenę) w posiadanie najlepsza z trup prowincjonalnych — to znak pomyślności”.

Niestety, pomimo wszelkich wygód i udoskonalenia technicznych teatr nie cieszył się powodzeniem. W 1888 r. trupa Reckiego i Dobrzańskiego dała tylko 86 przedstawień, niepowodzenia, jakiego doznawali artyści, zmusili zarząd do zwolnienia ich z kontraktu<sup>11)</sup>. Budżet spółki ratowały dzierżawy lokali Resursy Kupieckiej, bufetu, Kasy Przemysłowców Lubelskich i kilku mieszkań prywatnych na 3 i 4 piętrze. „Teatr nasz stoi pustką, narażając na straty spółkę, która złożyła na jego wybudowanie znaczne fundusze”... czytamy w kronice lubelskiej za rok 1890<sup>12)</sup>. Były jednak również chwile pomyślniejsze. W sezonie zimowym 1906/7 bawiła trupa J. Myszkowskiego, doznając „szczerego przyjęcia i bardzo dobrego powodzenia, jak na czasy rewolucyjne”<sup>13)</sup>.

Niepowodzenia tłumaczone były najczęściej słabym poziomem gry, niewłaściwym repertuarem, nieodpowiednim kierownictwem. Pojawia się jednak swoistego rodzaju konkurencja: „Istną plagą Lublina... stały się przeróżne kinematografy, które cieszyły się i cieszą wielką popularnością i powodzeniem, zawdzięczając to powodzenie przeróżnym „sensacyjnym okropnościom” wyświetlanych obrazów; w ostatnich latach przed wojną zjeżdżali z Warszawy różne „Momusy”, które

cieszyły się szalonym powodzeniem”<sup>14)</sup>.

Długie kolumny druku poświęcone były w czasopiśmie lubelskich sprawom teatru. Opisywano jego powodzenie i klęski, potrzeby i niedostatki.

Teatr przy ul. Narutowicza od wielu lat służy Tali i Melpomenie — może niedługo przyjdzie mu w sukurs nowy wspaniały gmach teatralny odpowiadający naszym obecnym potrzebom i możliwościom.

Henryk Gawarecki

Przypisy

1. Gawarecki H., Dzieje pierwszego budynku teatralnego w Lublinie; W: KAMENA, R. 1954, nr 4, s. 52-53.
2. Sierpiński S. Z., Obraz miasta Lublina, Warszawa 1829, s. 183.
3. „...niełatwe do usunięcia takie wadliwość jak haniebny rezonans, który meczy mówiących i śpiewających na scenie, dalej zupełny brak foyer lub chociażby korytarzów do przejścia się i ochłodzenia zwłaszcza dla kobiet, zmuszonych niekiedy wśród gorąca, zaduchu i tłoku przesiadzić nieruchomie trzy lub cztery godziny, brak kontramarkarni, ciasna i niedogodna scena, wreszcie cała budowa teatru nieestetyczna... oto kardynalne zarzuty”. — „Kurier Lubelski” R. 1877, nr 45.
4. Budowa teatru w Lublinie, Kurjer Lubelski, R. 1877, nr 43, 46.
5. J. w.
6. Spółka Cywilna „Teatr Lubelski”. Sprawozdanie z budowy gmachu teatralnego za 1885 rok (rekopis powielany).
7. J. w., s. 11.
8. Nowy teatr w Lublinie, Lublin 1886, s. 6.
9. J. w. s. 8.
10. Rz. Otwarcie nowego teatru w Lublinie. W: Tygodnik Ilustrowany, R. 1886, nr 183, s. 59.
11. Spółka cywilna „Teatr Lubelski”. Sprawozdanie z czynności zarządu za 1888 rok, s. 4.
12. Kalendarz lubelski na rok zwyczajny 1891, Lublin nakł. M. Kossakowskiej s. 8.
13. Piasecki Z., Kronika lubelska, W: Kalendarz lubelski na rok przestępny 1908, s. 19.
14. Pigman Jan, Kronika lubelska 1868-1918. W: Kalendarz lubelski na rok zwyczajny 1918, s. 31.

## WIĘCEJ PRAWDY NIŻ PLOTKI

W okresie minionego dwudziestolecia, a zwłaszcza w czasie ostatnich 6-7 lat polska memuarystyka wzbogaciła się licznymi pozycjami. Znamienne jest, że autorami temów szkiców wspomnieniowych są przeważnie literaci.

Znany poeta okresu międzywojennego — złonek Zegadłowiczowski grupy „Czartak” — Edward Kozikowski, ogłosił ostatnio drugi już tom tego rodzaju szkiców (por. „Między prawdą a plotką”, Wydawn. Literackie 1961), a, jak się wydaje, pracu-

Edward Kozikowski: Więcej prawdy niż plotki. Wspomnienia o pisarzach czasów minionych. Państw. Inst. Wydawn. 1964.

je obecnie nad tomem trzecim, czego zapowiedź dał w jubileuszowym numerze „Kamień” publikując wspomnienia o Bolesławie Prusie.

Z wydanego obecnie tomu czytelnikom „Kamień” znane jest wspomnienie o Bolesławie Lesmianie — wydrukowane tu z niewielkimi skrótami. Autor zastrzega we wstępie, że „Więcej prawdy niż plotki” nie jest dłuższym ciągiem „Między prawdą a plotką” — to prawda, obie książki można zresztą czytać w odwrotnej niż się ukazywały kolejności, a nawet przeczytać tylko jedną; niemniej oba te tomy zająłaby się i uzupełniają, tak, że można by mówić o nich jako o całości.

W tytule obu tomów obok słowa „prawda” znajduje się słowo „plotka”, autor zresztą w przedmowie do „pierwszego tomu” (niech mi daruję to określenie) pisze: „...wśród przytaczanych faktów znajdują się i plotki niesprawdzone, które cytując, podaje jednak źródło ich pochodzenia i nie ukrywam ich wątpliwej wagi autentyczności”.

Dałoby się oczekiwać ciekawych rozważań o plotce i o jej częstej bliskości prawdy.

Wartość plotki jako szczegółu obyczajowego nie podlega chyba dyskusji, zwłaszcza plotki „historycznej” — z przeszłości. Świętyni pisarz Teodor Parnicki powiedział podczas niedawnego pobytu w Polsce, że gdyby powstała powieść opisująca sąsiedzi historycznej, to — zakładając kulturę historyczną autora — byłaby to niewątpliwie powieść historyczna.

To samo dotyczy plotki. Tom plotek z jakiegoś czasu, pomijając nawet ich walory anegdotyczne, byłby niewątpliwie sul genera źródłem do poznania przeszłości. Oczywiście u Kozikowskiego i z tytułu „drugiego tomu”, i z lektury obu, widać jasno przeważającą ilość ścisłej prawdy historyczno-literackiej, ale zawarte w jego książkach plotki dodają im jeszcze uroku i lekkości.

Autor — wieloletni działacz Związku Literatów — z natury swoich obowiązków, stykał się z wielką liczbą pisarzy, w znacznej części już nieżyjących. Dlatego też oba tomy jego wspomnień są kopalnią wiadomości o twórcach literatury polskiej okresu międzywojennego, a częściowo i lat poprzedzających powstanie Drugiej Rzeczy-

pospolitej (termin to pojawiający się ostatnio coraz częściej).

Tom poprzedni zawierał m. in. wspomnienia o T. Micińskim, J. Kadencie - Bandyrowskim, W. Sieroszewskim, A. Strugu, K. Tetmajerze, S. Zeromskim, J. Lechoni i L. Staffie. W tomie ostatnio wydanym wspomina Kozikowski m. in.: J. A. Kisielewskiego, E. Słoińskiego, B. Lesmiana, Z. Nałkowską, J. Lieberta, S. I. Witkiewicza. W obu tomach znalazły się też szkice o twórcach mniej znanych, dzisiaj często zapomnianych, jak np. Z. Kisielewski (brat Jana Augusta, a ojciec Stefana), H. Nagle-rowska, B. Ostrowska, L. Belmont czy Z. Barikiewicz. Na koniec jako fakt oczywisty odnotować trzeba, że w obu swoich książkach umieścił Kozikowski obszernie wspomnienia o Zegadłowiczu i grupie „Czartak”.

Wspomnienia Kozikowskiego czyta się z niesłabnącym zainteresowaniem z uwagi na ciekawy temat i lekkość ujęcia, które zdradza pióro wrażliwego poety, jak również czarującego gawędziarza.

B. K.

## Klucz do sztuki

STANISŁAW MICHALCZUK

STALE rosnące zastępy czytelników spragnionych wiedzy o sztuce otrzymały okazały tom wydany z niemalym nakładem środków, bogato ilustrowany 299 reprodukcjami czarno-białymi w tekście i 22 tablicami barwnymi. Autorka Nela Samotyhowa, znana już w latach trzydziestych z „gawęd o sztuce” dru-

kowanych w „Wiedzy i życiu” oraz z kilku publikacji wydanych po wojnie, i tę książkę zaadresowała do najszerszych kręgów odbiorców sztuki dawnej i nowej. Niestrudzona popularyzatorka tajemnic sztuki zwraca się do nich wprost po imieniu, dyskutując z Barbarą, Ireną, Jadwigą, Haliną, Zofią, Jerzym, Zoign.ewen i Markiem. Uczy ich patrzenia, widzenia, odczytywania i rozumienia podstawowych pojęć o formie i treści malarstwa, wyklada terminologię, szkicuje historię i sylwetki artystów. Daje do ręki klucz, którym pilny czytelnik zdoła otworzyć nie jeden tajemny zamk od skarba sztuki.

Biograficzno-encyklopedyczny zarys malarstwa zachodnioeuropejskiego poprzedzony został kilkudziesięciostronowym wykładem o alfabecie plastycznym. Jest to niewątpliwie najbardziej wartościowa część książki, ucząca w sposób prosty i przystępny widzenia rysunku, barwy, waleru itd, traktująca o roli i znaczeniu linii, plamy, konturu, światła, o rodzajach kompozycji, wyrazu i nastroju obrazu. To jest właśnie ten klucz, którym operują historycy sztuki, krytycy i wyrobieni znawcy malarstwa. To jest recepta, bez której nie sposób zdać sobie sprawę z tych wszystkich elementów, jakie składają się na obraz,

z tego czym on jest, czym dysponuje dany artysta i w jaki sposób dochodzi do realizacji swych zamierzeń.

Wstępne ćwiczenia przeprowadza autorka ze swymi słuchaczami na przykładach obrazów i rysunków pochodzących z różnych wieków, co bardzo sugestywnie wyrabia przekonanie o przemianach dokonujących się w sztuce, stanowiącej ułamek całokształtu życia epoki czy środowiska, o współzależności treści i formy i ich swoistym życiu.

Samotyhowa unika definicji i suchych pojęć, operuje konkretnymi

(Dokończenie na str. 16)

## RYCERZE I PANNY WODNE

(Dokończenie ze str. 11)

zderzenia z szarą i nieustępliwą rzeczywistością, wymagającą na codzień wytrwałości i systematyczności w pracy, a niejednokrotnie także wyrzeczeń i poświęceń. Zwykle, pracowite życie wymaga wiary w drugiego człowieka, zaufania i serca. A skąd tę wiarę, zaufanie i serce wziąć, gdy się je uprzednio rozmiętko na drobne i roztrwonilo? Kupić się nie da, „skombinować” nie sposób. Rycerze i Panny Wodne są w tych sytuacjach najczęściej całkowicie bezradni, są rozgoryczeni, przekonani, że życie im się nie udało. Staczą się przerażająco łatwo. Brak im hartu. To nie może nie budzić niepokoju. Kto tutaj jest winny, a kto bez winy?

Zwykle to są dzieje, zwykle, jak ich imiona, którymi się nazywają, bez nazwisk: Józku, Staśku, Ryśku, Alka, Rena, Wika. Imiona — sygnały. Jak im pomóc? Kto ma to zrobić? Zapewne — nie władze porządkowe. One wkraczają dopiero wówczas, gdy już do-

brze cuchnie, gdy społeczeństwo jest zagrożone. Zgodnie z prawem. Więc kto? Zaślepieni w miłości rodzicielskiej i pozbawieni autorytetu, „niewspółcześni” rodzice?

Rycerze i Panny Wodne. Życie ich wielu prawd jeszcze nauczyć zdąży. Po klęskach i rozczarowaniach, po zawodach i upokorzeniach nabiorą szacunku dla innych, dla pracy, która wychowuje najlepiej. Ale czy koniecznie muszą przejść przez ten swoisty tor przeszkód, czy nie można im zaoszczędzić rozwiniętych złudzeń, upadków, gcnitwy w kółko za nieosiągalnymi, niemożliwymi do zrealizowania iluzjami w postaci życia lekkiego, jak klasyczna fraza, łatwego, jak ich o owym życiu wyobrażenia?

Dla nich edukacja skończyła się wraz z ukończeniem szkoły. Nie chcą podjąć dalszej nauki poprzez pracę, nieodpowiednią dla nich, ich zdaniem; urządzili sobie wakacje. Kto ich — i jak — przebudzi? Kto ich nauczy spełniać trudniejszych, niż te, znane im, adapterowo—kawiarniane?

Pytania mają to do siebie, że są łatwe, z odpowiedziami bywa kłopot.

Zapewne, sprawa Rycerzy i Pannien Wodnych jest w gruncie rzeczy sprawą dość małą. Sprawa to zwyczajna, codzienna, spotykana nie tylko w naszym mieście — lecz wszędzie tam, gdzie do dziś pokutują przesady o chwalebnych i zniesławiających rzędach pracy, poglądy przestarzałe i nie mające współcześnie racji bytu. Możliwość szybkiego awansu spo-

lecznego rozbudziła apetyty. Ale okazało się, że ta możliwość posiada pewne ograniczenia i stopnie trudności. Nie każdemu sądzona jest kariera dyrektora czy panny Majdaniec.

Drzwi do kariery nie zatrzasnęły się przecież przed nikim. Zdecydowana, ogromna większość młodzieży rozumie to — studiuje, pracuje, przysparza korzyści sobie i społeczeństwu. Świadomie i z należytą powagą określa samą siebie, szanuje każdy wysiłek, każdą pracę, służącą nam wszystkim.

Cóż pozostaje Rycerzom i Pannom Wodnym? Nikt nie będzie usiłował ich namawiać do rezygnowania z wysokich aspiracji. Rzecz w tym, żeby zechcieli się kontentować na razie osiągalnym i poprzez pracę przygotowywali samym sobie przyszłość. Innej drogi nie ma, za to ta droga, u podstaw której leży praca, wiedzę tak daleko, jak się „zamarzy”. Trzeba to zrozumieć i aprobować. Słpe zaułki kończą się murem.

Turyści, odwiedzający licznie nasze miasto, podziwiają zabytki, kościoły, dzwoneczka. Dzielniejsi turyści wspinają się krytymi i stromymi uliczkami na Górę Zamkową, stają w zachwyceniu, patrzą. Na zachód pętla Sanu, ginąca w lesie pośród wzgórz, bliżej dachy, ulice, mosty. Turyści wyciągają aparaty fotograficzne, pstrykają. A ci, którzy nie byli w naszym mieście, oglądając te zdjęcia, mówią: ładny jest ten Przemysł!

Tadeusz Piekło



## Kilka refleksji o konkursach recytatorskich

W CISCZY, która poprzedza zwykle ogłaszanie wyroków, w ciszy zatrzymanych oddechów i trwożliwie łopoczących serc, padną za chwilę słowa, które przez wielu przyjęte zostaną jak surowy wyrok — sprawiedliwy, lub nie. Patrząc na zmienne oczekiwaniem twarze krzyżące nie narodzone jeszcze uczucie gniewu, oburzenia, zawodu, upokorzenia, zakłopotania, bądź — nieliczne — radości. Twarze, z których w czasie trudnych godzin przesłuchań usiłowaliśmy odgadnąć prawdę, czy fałsz, choć najczęściej wyrażały niczym nie przysłoniętą obojętność. Za chwilę padną słowa, twarze w okamgnieniu przeobrażają się, nastąpi pierwsze odslonienie rzeczywistych uczuć, na które — choć innymi pobudkami wywołane — tak czekaliśmy za stołem sędziowskim.

Odwracam wzrok. Nie lubię tego momentu w przebiegu konkursu recytatorskiego. Nie lubię z dwóch względów: po pierwsze — ze względu na nie zawsze możliwy obiektywizm „wytypowania” z niezbitą pewnością tych rzeczywiście najzdolniejszych, a po drugie — ze względu na panującą już od kilku konkursów atmosferę dziwnej rywalizacji przypominającej źle zorganizowane zawody sportowe, w których podniecenie trenerzy dopingują swoich nie zawsze najlepiej przygotowanych zawodników do wydobycia maksymalnego wysiłku — choćby kosztem zdrowia — w pogoni za medalami i kwalifikacją na zawody wyższego stopnia, co przecież przeczy pięknym założeniom idei sportu — a sami zawodnicy czynią często wrażenie, jakby nie bardzo wiedzieli, po co się wysilają i jak się mają wysilać.

Konkurs w założeniach miał się stać trybuną burzliwej dyskusji, wymiany poglądów między recytatorem a słuchaczem. Tymczasem tak rzadko spotyka się recytatora, który z żarliwością stara się przekonać słuchacza o słuszności myśli i idei, które przekazuje za pomocą właściwie dobranych dobrych tekstów literackich.

Na zakończenie eliminacji miejskich tegorocznego konkursu recytatorskiego w Białymstoku, po ogłoszeniu werdyktu — wyroku przewodniczący jury publicznie stwierdził, że w porównaniu z latami ubiegłymi eliminacje stały na wyższym poziomie pod względem przygotowania recytatorów. Po co więc rozwodzić się na temat pewnej jakby ospałości tych eliminacji? Właśnie dlatego, że jury zauważyło rzeczywiście wyższy poziom przygotowania technicznego, ale często na zasadzie trenowania zawodnika, który wie, że musi biegać szybko, tylko nie wie po co. Przypuszczam, że zawodnicy i ich trenerzy właściwie wiedzieli: stawką była nagroda i przedostanie się do eliminacji wojewódzkich. A szkoda. Stawką powinna być przede wszystkim rywalizacja o pozyskanie słuchaczy dla swoich myśli i uczuć ubranych w możliwe najlepsze teksty literackie. Co innego pokazywać, że się umie od biedy mówić (na co też zbyt mało zwraca się uwagi), choćby jak wyuczona papuga, co innego przy pomocy tej samej umiejętności przekonywać o słuszności własnych przeżyć i przemyśleń.

Toteż — wracając z kolei do pierwszego względu, dla którego nie lubię momentu ogłaszania werdyktu jury — sędziowie konkursowi mają trudność prawie nie do pokonania: jak doszukiwać się w powodzie słów płynących z estrady śladu prawdy przeżycia recytatora? Gdzie jest granica między indywidualnym przeżyciem i myśleniem recytatora a wytrenowaniem choćby przez najlepszego trenera? (Tu uważa: bardzo często narzuca się recytatorowi teksty przekraczające możliwości ich przeżycia i zrozumienia).

W czasie konkursu spotykamy się z amatorami, to znaczy z ludźmi zamiłowanymi w sztuce, ale nie znającymi często jej arkanów technicznych. Peł-

nymi wątpliwościami, czy „dobrze”, a to znaczy potocznie w tym przypadku — czy „ładnie”, mówią. Więc także pełnymi tremy. Jeśli tedy amator nie ma nic do przekazania poza „ładnym mówieniem”, żadnych treści, uczuć, przemyśleń, a do tego nie ma rutyny i techniki, jak może za każdym razem „dobrze” ten sam tekst powiedzieć, kiedy każdego dnia znajduje się w innym nastroju psychicznym? A „dobrze” w rozumieniu słuchacza znaczy zawsze: i ciekawie, i w zgodności środków technicznych z treścią. Toteż nie rzadko się zdarza, że recytacja przechodzi niezauważona, jeśli już nie wzbudza uczucia niesmaku, ku oburzeniu zawodnika i trenera („przebież wczoraj na próbie X lub Y był wprost genialny, dziś mu się nie udało, wiadomo, amator, a jury nie poznało się na jego zdolnościach, bo że zdolny, to widać”). Jury nie pracuje na co dzień z zawodnikami. Ocenia tylko, jak słuchacz końcowy efekt pracy. I nie wydaje wyroków, po których wielu urażonych recytatorów nie wraca już do tej pięknej sztuki mówienia. Stara się tylko wytypować tych, którzy poza żarliwością dopracowali się tej zgodności środków technicznych z przeżyciem treści tekstu literackiego. To na pewno wymaga pracy. Sztuka mówienia i przekonywania nie opiera się li tylko na „iskrze bożej”, co znaczy najczęściej na przypadkowej zgodności. Opiera się — jak i inne sztuki — na ciągłej pracy polegającej przede wszystkim na myśleniu.

## Klucz do sztuki

(Dokończenie ze str. 15)

przykładami i faktami. Dzieło sztuki bada jak organizm, widząc w nim logikę ludzkiego rozumu, lub uczucia. Nie szuka i nie komentuje piękna, przedstawia wartości trwałe, nieprzemijające, a wybór ich i upodobania pozostawia odbiorcom.

Jak wspominałem, książka powstała z chęci pokazania, wyjaśnienia i nauczania zainteresowanych wiedzy o sztuce. Autorka, od lat oddana sprawie popularyzacji sztuki, z pasją nauczyciela zebrała i wyłożyła wielką ilość materiału faktograficznego, który nie zawsze mieści się w ramach tytułu i okazał się nietrywialny do uporządkowania. Tłumaczy się to po części popularnością zarysu i potrzebą wprowadzenia w sprawę sztuki czytelnika zupełnie nie przygotowanego. Wszak głodny lyka każdy kęs z równym apetytem. Ale większa konsekwencja w wyborze materiału i nie zawsze konieczna forma dialogów bardziej zapewne utrudnia, niż ułatwia zamiary autorki.

Książka podzielona została na kilkanaście rozdziałów, których tytuły nieodpowiednio redakcyjnie sformułowane w paru miejscach wypaczają ogólnie przyjęte chronologiczne podziały dzieł sztuki, i tak np. rozdział pt. Sztuka starożytności objął okres od pierwszych wieków naszej ery do epoki gotyku włącznie, a malarstwo nowoczesne datowane jest od Secesji (Jugendstil) czyli dopiero od samego końca XIX wieku. Mniejsza zresztą o podziały historii, o jej krącenie zawsze umowne i sporne, ale

## Sztuka z codzienności wyrosła

Jest to sztuka oparta na tradycji i czerpiąca z niej większość motywów dekoracyjnych i schematów ikonograficznych, lecz jednocześnie stanowi ona organizm nadal żywy, bogactwo się poprzez inwencję poszczególnych twórców, rozszerzenie tematyki i nowe możliwości technicznych rozwiązań. Pomimo, że moment integracji dwu kultur: miejskiej i wiejskiej wydaje się być stosunkowo niedawny, to jednak obecnie specyfika i odrębność tych dwu nurtów kultury narodowej są wystarczająco uchwytne, aby można mówić o współczesnej sztuce

## Opakowanie

CHOC byśmy się najmocniej opierali działaniu wartości wórnich, do jakich należy m. in. wszelka najszerzej pojęta forma, i wyciągał ramiona ku krępującym elementom treści — przecież formy na zawsze pozostaną kształtem i treścią, a więc zapowiedzią, reklamą narzucającą z góry stosunek do zawartego w nich wnętrza.

O potęgę formy mogę mówić i ja. Poznałem pewną panią, której uroda i rozum, przyznam, uczyniły na mnie wrażenie. Jakże jednak osłabł czar, gdy zakomunikowano mi, że owa pani nosi okropnie śmieszne nazwisko, skojarzone z martwym, przysłowioowo pogardzanym przedmiotem (ze zrozumiałych względów prawdziwego brzmienia nazwiska nie podaję w rodzaju pudło, albo but. Bronilem się przed niechętnym wrażeniem, jak mogłem, ale czysto formalny efekt — pani Pudło, to brzmie strasznie, nieprawdaż? — obrzydził mi zjawisko wcale skutecznie.

Obrzydził, ale i pouczył, jaką potęgę kryje w sobie świat form. Pół biedy gdy chodzi o gorsze mydło, po które sięgamy dlatego, że ma piękniejszą opakowanie, albo o dżem w słoiku z prawdziwie boską etykietką, chociaż wewnątrz rozczarowuje smakiem i zapachem. Są wartości intelektualne, ideowe, które wielu wybiera też z racji ładniejszego opakowania. To jest znacznie gorsze w skutkach.

Nie tak dawno byłem na zebraniu poświęconym sprawom politycznym. Wśród kolejnych mówców wystąpił stary działacz, zahartowany w przedwojennej i wczesnowojennej sztuce wciowania. Występ był pod względem oratorskim bez zarzutu, a nawet w referato-wej szaryźnie wręcz polyskiwał krasomówstwem. Była tam i analogia do czasów dawnych, były wstawki z własnych dramatycznych przeżyć, były wreszcie postulaty, wnioski i żądania. Dla całości wystąpienia istotna była także barwa i natężenie głosu. Dość powiedzieć, że taki mówca nie bałby się największej nie radiofonizowanej sali, przy czym pestykulacji pozazdrościłby mu niejedyn mim. Krótko mówiąc forma błyskotliwa.

Lecz jaka była treść? Co najmniej demagogiczna. Człowiek ten, wbrew rozsądkowi chciał, aby lekarstwem przeciw nadużyciom gospodarczym była natychmiastowa podwyżka uposażeń równa kwocie rozkradane go w ciągu roku mienia. Wylizywał on sobie, że wynosi to 20 miliardów złotych. Dać! — nawoływał — a wtedy ludzie przestaną kraść. I cóż, nikt jakoś nie pomyślał, że aby dać, trzeba odkroić nieprzewidywany kawałek narodowego bochenka. Może z inwestycji, aby mniej było fabryk, miejsc pracy, szpitali? Może z wydatków na oświatę? A nawet gdyby się taką kwotę w magiczny sposób znalazło, to skąd pewność, że po jej ochoczym skonsumowaniu, kradnący dokonają cudu życia w zgodzie z etyką? Dodatek wezmą jak swój, a stalego procedurę się nie wyrzekną. Pewniejszy sposób to kontrola ludzi, ochrona wspólnego dobra, a gdy trzeba — karanie winowajców. Przez dobrą chwilę nikt jednak wśród zebranych nie pomyślał o tych sprawach. To jasne, ogłuszyła ich forma wystąpienia, ogłuszyła do tego stopnia, że nawet najrozsądniejsi skłonni byli bić brawo. I bito je głośno, a długo.

Oczywiście inny, dużo młodszy działacz wyjaśnił, jak powinno się spojrzeć na treść poruszonej sprawy. Mówił długo i politycznie słusznie. Czy przekonał zebranych? Nie wiem. W każdym razie ani on, ani nikt tego dnia nie potrafił powtórzyć cudu z formą, która choć na krótko, zdolała przecięć zawadną wyobraźnię zebranych, przemycając swoją nie najlepszą treść.

Jędrzej

skoro na to się decydujemy i wprowadzamy jakieś zmiany, to zdradźmy przed czytelnikiem tego powody. Samotyhowa nawleka na sznur bardzo różne korale: zajmuje się sztuką katakumb, sztuką bizantyjską, wiekiem Karola Wielkiego, epoką romańską, sztuką gotycką — katedrami i rzeźbą, dalej poszczególne rozdziały poświęca kolejnym wiekom, czasem wiek łączy z pojęciem stylu — np. wiek XVII barok, XVIII rokoko we Francji, wyraża unika powiązań sztuki obcej ze sztuką polską we wszystkich okresach, ale w ostatnim rozdziale poświęconym malarstwu nowoczesnemu wymienia kilka nazwisk malarzy polskich.

Te i inne braki (np. sztuka Picassa omówiona została w podrozdziale z tytułowanym „Abstrakcjonizm”) potęgują niedopatrzienia redakcyjne, z których pominięcie dat w podpisach pod ilustracjami trudne jest do wybaczenia w tego rodzaju publikacji.

Przecież tak bogaty i technicznie doskonały materiał ilustracyjny spełniony dwukrotnie większą rolą, ucząc czytelnika-amatora odbiorcę sztuki, o wiele większą, niż dopisanie do nazwiska malarza i tytułu obrazu — miasta i galerii, gdzie przechowywany jest obraz, co uczyniono i tak od przypadku do przypadku.

Mimo niedociągnięć książka Neli Samotyhowej wypełnia lukę w ciągłym braku tego rodzaju literatury popularyzującej sztukę wśród najszerszych kręgów czytelników. Spełnia swoje zadania i warto ją przeczytać, aby później móc sięgnąć do publikacji trudniejszych, które poleca autorka w obszernym wykazie na końcu swego zarysu.

Stanisław Michalczuk

Neli Samotyhowa, Malarstwo zachodnioeuropejskie, popularny zarys rozwoju form malarstwach od katakumb do połowy XX wieku, Nasza Księgarnia 1964, stron 479, cena 75 zł.

ludowej istniejącej obok „plastyki z dyplomem”.

Sztuka ludowa, wyrosła z potrzeb wiejskiej społeczności, podlega oczywiście kryteriom estetycznym ludu, konkretyzując się w przedmiotach sztuki i mającym pewien ogólny odpowiednik w klimacie towarzyszącym tej sztuce. Wydaje się, że wśród cech zasadniczych twórczości ludowej wypada postawić na czele oryginalność wzgląd artystycznej, bogactwo rozwiązań i fantazji, dążenie do syntezy i skrótu formalnego, dekoracyjność, bezpośredniość i naiwność postawy artysty wobec świata. W znacznej mierze przekonuje nas o tym Wystawa Współczesnej Sztuki Ludowej Czterech Województw otwarta 10 listopada w salach lubelskiego BWA, a zorganizowana przy współudziale wydziałów kultury PWRN i muzeów okręgowych Białegostoku, Kielec, Lublina i Rzeszowa. Spośród wielu eksponatów na uwagę zasługują wzorzyste i barwne tkaniny białostockie S. Maselbas, A. Majewskiej z Wasilówki, pow.

Sokółka, ceramika lubelska i rzeszowska, rzeźba kielecka — L. Kudły, J. Piłata, A. Zagadły, lubelska — T. Kożuchowski, D. Kuźmińska, rzeszowska — W. Chajca, J. Kalinowski; inne dziedziny sztuki ludowej i rzemiosła artystycznego reprezentują wycinanki, kowalstwo i zabawki. Całość uzupełniają przedmioty związane z obrzędami i piękne wiszące pod sufitem „pałaki”.

Zorganizowanie tak poważnej wystawy należy niewątpliwie uznać za fakt ze wszech miar pozytywny, gromadzi ona ciekawe i reprezentatywne dla poszczególnych regionów dzieła sztuki ludowej. Niektóre wadliwie działają stracili na skutek wadliwej ekspozycji, w pewnych wypadkach będącej dowodem niezrozumienia sensu podobnych wystaw i samej istoty sztuki ludowej (tkanina), w innych zaś (rzeźba) stwarzająca konkurencyjną oprawę dla samych eksponatów.

I. J. K.